

Rok XXX

Nr e-114 (310)

Kwiecień 2016

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Lansjerzy czy ułani	Wojciech Tumidajewicz	3
Autobusem do Pasterki	Bartosz Skowroński	4
W 2016 r. warto odwiedzić Wrocław – Europejską Stolicę Kultury	Stanisław Dziuba	7
Poznajemy Bagno	Jerzy Maciejewski	9

OJCZYSTE SZLAKI

Miejsca, którymi Radom może się pochwalić	Paulina Guzińska	11
Kornuty na kajakach	Maria Chróścicka	13

TRASA MIESIĄCA

Cel: Przerzeczyn-Zdrój – najmniejsze dolnośląskie uzdrowisko	Bartosz Skowroński	15
---	--------------------------	----

GLOBTROTER

Sobór Sofijski	Janusz Fuksa	18
Bratysława – stolica Słowacji, która czaruje	Ján Bošnovič	20
Słowackie to i owo	Wojciech Radliński	22
W labiryncie Wardzii	Krzysztof R. Mazurski	23
Węgrzy tworzą w Polsce nową turystyczną markę ...	Centrum Prasowe PAP	25

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Co wymyślili krajoznawcy we Wrocławiu w 1970 r. ...	Wojciech Radliński	26
Anegdotyczne perły z lamusa	Bogumił R. Korzeniewski	27
Szesnasty raz na śladówkach	Juliusz Wysłouch	29
Green velo, czyli wschodni szlak rowerowy	Tomasz Kowalik	32

PORADNIK TURYSTY

Co słycać w sklepach?	Juliusz Wysłouch	35
-----------------------------	------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Kolekcjonerzy km (3)	Henryk Paciej	37
----------------------------	---------------------	----

U KRESU WĘDRÓWKI

Zmarła nasza najserdeczniejsza Koleżanka Maria Józefa Balkowska-Damian	Aleksandra Uchman i Andrzej Rumiński	38
---	--------------------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Ján Jesenský vel Jan Jessenius – wielki Słowak z Wrocławia	Krzysztof R. Mazurski	39
---	-----------------------------	----

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Nowy etap turystycznego zgłupienia	Tomasz Kowalik	40
--	----------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Lubuskie dla niepełnosprawnych	Krzysztof R. Mazurski	42
Literacka Miedzianka	Grzegorz Pisarski	43
Małe ojczyzny	Krzysztof R. Mazurski	44

Na okładce: Panorama Bratysławy. Fot. Martin Sloboda

Lansjerzy czy ułani

Do zajęcia się tym tematem przyczynił się szlak Lansjerów Legii Polskiej (Ułanów Legii Nadwiślańskiej), który został oddany do użytku 15.05.1960 r. dzięki staraniom Komisji Turystyki Pieszej Oddziału PTTK w Wałbrzychu oraz rzemieślnikom wałbrzyzkim. Został on nazwany jako *Szlak Ułanów Legii Nadwiślańskiej*, choć uważam, iż jego właściwa nazwa brzmi *Szlak Lansjerów Legii Polskiej*, ale o tym może przy innej okazji napiszę. W artykule chciałbym przybliżyć czytelnikom *Na Szlaku* różnicę między lansjerem a ułanem.

Lansjerami określana była lekka jazda wyposażona w lance. W XVII w. kawaleria europejska z wyłączeniem polskiej i hiszpańskiej zaprzestała używania włóczni, niemniej jednak w XVIII w. uzbrojenie tego typu powróciło do łask. W XIX w. pułki, wyposażone w lance, były zwykle nazywane ułanami. Jednak Francja i Anglia pozostały przy nazwie lansjerzy. Określenie ułan pochodzi z języka Tatarów polskich, którzy osiedlili się na terenach I Rzeczypospolitej. Konnica ze zwyczajami ułańskimi pochodzi od Mongołów i Tatarów, u których *oghlan* albo *ulan* określał *młodzieńca, junaka*. Według Piotra Borawskiego słowem *ulan* tytułowani byli przedstawiciele arystokracji, natomiast możnowładztwo spokrewnione z rodem Czyngis-chana nosiło tytuł *Sołtan*. Od końca XIV w. członkowie tych rodzin arystokratycznych, którzy zasiedlali tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego, niejednokrotnie zachowywali tenże tytuł. Jedną z gałęzi klanu Assańczukowiczów adaptowała ten tytuł w nazwisko – Ułan. Pułk Aleksandra Ułana (osiem chorągwi) stanął po stronie Augusta II w czasie wojny domowej lat 1715-1716. W zamian za wierność w 1717 r. monarcha przeniósł pułk ze służby koronnej na żołd w armii saskiej. Po śmierci Ułana dowódcą pułku został Czymbaj Murza Rudnicki, a później Józef Bielak, jednak pułk zwano nadal *wojskiem ułanowym*. W trakcie konfliktu zbrojnego o austriackie dziedziczenie (1740-1748) oraz w czasie wojny siedmioletniej (1756-1763) każdy pułk jazdy tatarskiej, złożony z tatarskich mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego zbrojnych w lance, szable oraz krótką broń palną, zaczęto zwać *ulanami*. Po rozbiorach Polski określenie oddziałów ułańskich, jak również określenia poszczególnych detali ich uzbrojenia przeniknęły z języka polskiego do innych języków na zachodzie Europy po dzisiaj. Natomiast Piotr Jaźwiński uważa, iż nazwa ułan wzięła się od nazwiska płk. Mohammeda Ułana z czasów Stefana Batorego – dowódcy chorągwi lekkiej jazdy Rzeczypospolitej, podobnie jak nazwa lisowczyków wzięła się od nazwiska jej pierwszego dowódcy – Aleksandra Lisowskiego.

Lekką jazdę polską z końca XVIII w. i czasów zaborów można podzielić na dwie grupy. Pierwsza grupa kawalerzystów, będących na żołdzie francuskim, których określano mianem lansjerów, np. Lansjerzy Legii Naddunajskiej, Legii Polskiej, Legii Polsko-Włoskiej i Legii Nadwiślańskiej. Druga grupa kawalerzystów, utrzymywanych przez Księstwo Warszawskie, a później Królestwo Kongresowe, to Ułani Księstwa Warszawskiego i Ułani Królestwa Kongresowego.

Wojciech Tumidajewicz



Autobusem do Pasterki

Stołowogórska Pasterka to wieś na przysłowiowym końcu świata. Wprost za górami, za lasami. Jakby tu nie jechać, trzeba pokonać spore przewyższenie. Zdążając doń pojazdem z Radkowa należy piąć się początkowo stromą drogą wojewódzką nr 387, zwaną Drogą Stu Zakrętów lub Szosą Stu Zakrętów. Pokonuje się wtedy kilka serpentyn, w tym agrafkowy Stroczy Zakręt zwany też Językiem Teściowej. Jednak po wjechaniu na wierzchowinę jedynych w Polsce gór o budowie płytowej nie czeka nas upragniony cel. Trzeba tam ze wspomnianej szosy odbić jeszcze w inną boczną drogę. Dokonuje się tego na skrzyżowaniu w okolicach poziomicy 750 m. W ten sposób zmieniamy szeroką w tym miejscu na około 5,6 m Szosę Stu Zakrętów na jeszcze węższą asfaltową drogę. Zaraz za skrzyżowaniem ma ona niewiele ponad 3 m szerokości. Przy połączeniu z drugą jej „nitką”, wiodącą od Szosy Stu Zakrętów, jeszcze mniej – zaledwie 3 m. Nieco dalej jest ciut szersza. Ale i tak wąziutka. Szosa ta trawersuje zbocza Szczelińca Wielkiego (919 m) i Szczelińca Małego (895 m). Później sprowadza kilkoma zakosami w dół. Dopiero za lasem leżą domostwa Pasterki.

Nic dziwnego, że nie od razu w 1945 r., po przejściu tych terenów przez Polskę, zdecydowano się na uruchomienie tam komunikacji autobusowej. Ba, i do pobliskiego Karolewa, jak zwano wówczas Karłów, komunikacja publiczna PKS dotarła dopiero w 1948 r. Wcześniej, już w 1924 r., do ówczesnego Karlsberga docierały regularne autobusy. Pierwszy raz za czasów polskości tej wsi pojawiła się ona w rozkładzie jazdy obowiązującym od 9.05.1948 r. Według niego, ważnego do 2.10.1948 r., pojazd PKS-u w Karolowie „meldował się” jadąc na trasie Kłodzko – Kudowa-Zdrój i z powrotem. Dużo tego nie było. Po trzy kursy w obie strony. Z tego niektóre typowo sezonowe – od 1 lipca do 30 września. Co ciekawe, na liczącej 54 km trasie z Kłodzka do Kudowy-Zdroju przez Wambierzyce i Radków autobusy, poza oboma krańcami, zatrzymywały się tylko w Polanicy-Zdroju, Wambierzycach, Radkowie i Karolewie. Niezmotoryzowanym mieszkańcom Pasterki pozostawały własne nogi. Takim rozkładem nie rozpieszczano też turystów. Wprawdzie kilka lat po wojnie pojawiły się przepisy utrudniające dostęp do strefy nadgranicznej, więc w samej Pasterce nie było ich zbyt wielu, jednak zawsze ktoś się zapewne napatoczył.

Jak tedy docierano w te strony, zanim pojawiły się w Karłowie pierwsze PKS-y? Otóż pewną alternatywą dla turystów mógł być dojazd koleją do stacji Gródek Śląski i wędrowka zeń w stronę odległej Pasterki. Taką możliwością wędrowcy mieli np. na przełomie lat 1946/1947. Ówczesna Stacja Gródek Śląski to późniejszy Radków. Piechurom pozostawała więc do Pasterki znaczna odległość. Idąc „dokoła” szosami to przecież prawie 15 km. W dodatku w większości pod górę.

Temat doprowadzenia komunikacji do tej odległej wioski pod koniec lat 60. XX w. musiał „być na tapecie”. W rocznym rozkładzie autobusów PKS na przełom lat 1967/1968 wieś ta pojawiła się w wykazie przystanków. Prawdziwa to jednak zagadka. O ile bowiem nazwa wsi widnieje w tym wykazie, to nie ma jej w tabeli z rozkładem. Czyżby zaniechano więc jakichś planów? W każdym razie nadal nic z publicznych środków lokomocji do Pasterki nie jeździło.

Do Karłowa natomiast docierało kilka pojazdów na dobę. Był wśród nich nawet jeden dalekobieżny autobus pospieszny z Wrocławia do Kudowy-Zdroju i z powrotem, ponadto dość zagadkowej relacji pospieszny kurs z Karłowa do Kudowy-Zdroju i z powrotem. Miał wyznaczony tylko jeden przystanek pośredni – „Łężno nż”. Komiczne to o tyle, że był to



Panorama Pasterki ze Szczelińca Wielkiego. Fot. Piotr Dacko

też jedyny pośredni w ogóle przystanek na tej trasie. Tę krótką, pospieszną relację obsługiwały być może mikrobusy.

I tak większość tych pojazdów nie jeździła w sezonie „zimowym”. Wynikało to być może z obawy o nieprzejezdność górskich szos w okresie śnieżnych w tych latach zim. W styczniu 1969 r. wrocławska „Gazeta Robotnicza” donosiła, na przykład, o zaspach sięgających ponad pół metra. Również i ten tytuł prasowy informował czytelników o brakach soli do posypywania dróg. Z tych powodów sporo kursów zimowych było odwoływanych. Mieszkańcom Karłowa, Pasterki oraz zdążającym w te strony turystom nie pozostawało wtedy nic innego jak własny transport, autostop lub własne nogi. Sroga zima w styczniu 1969 r. nie przeszkodziła bynajmniej w organizacji krajowej konferencji przedstawicieli PKS, Ministerstwa Komunikacji oraz specjalistów od transportu, która odbyła się wówczas w nieodległych Dusznikach-Zdroju. Tematem konferencji było opracowanie ogólnopolskiego rozkładu jazdy PKS uwzględniającego *„takie zagadnienia, jak ulepszenie organizacji pracy oraz usprawnienie przewozów pasażerskich dla posiadaczy biletów miesięcznych i młodzieży szkolnej”* – pisała wówczas „Gazeta Robotnicza”. Trudno powiedzieć, czy na konferencji podnoszono kwestię dojazdu do odległych górskich wiosek. Przynajmniej dla Pasterki konferencja nie przyniosła żadnych korzystnych zmian. Autobusów jak nie było, tak nie było. Podobnie w kolejnych latach.

Przełom nastąpił dopiero w 1973 r. W rozkładzie jazdy autobusów obowiązującym od 3.06.1973 r. do 25.05.1974 r. pojawiły się pierwsze w dziejach komunikacji PKS autobusy do Pasterki. Ponad 28 lat po przejściu tych terenów przez Polskę! Nic dziwnego, że wieś przez lata po 1945 r. sukcesywnie się wyludniała. Tak czy inaczej, wszystkie pojazdy, które tam wtedy docierały, wykonywały do wsi tzw. wjazd kieszeniowy w relacji Kłodzko – Karłów i z powrotem lub Karłów – Radków. Autobusy z Kłodzka do Karłowa w Pasterce „meldowały się” o godz. 12.50 i 16.40. Z rozkładu wynika, iż oba kursy odbywały się przez cały okres obowiązywania rozkładu. Jednak tylko w dni robocze. Więcej było autobusów zmierzających z Karłowa w stronę Radkowa, przy czym bezpośrednio do Kłodzka autobusy z Pasterki odjeżdżały o godz. 9.00, 13.25 i 17.15. Natomiast tylko do Radkowa autobus z Pasterki odjeżdżał o godz. 7.20. Wszystkie kursy odbywały się również przez cały okres obowiązywania rozkładu, ale tylko w dni robocze. Wynika więc z tego, że także zimą dojazd do Pasterki był możliwy PKS-em. Oczywiście rozkład swoje, a śnieżne zasy swoje. Jednak wieś miała przynajmniej teoretycznie stały dostęp do autobusu. Dojazd jedynie w dni robocze powodował, że żadnego znaczenia kursy te nie miały dla turystów „weekendowych”. Dla mieszkańców małej wioski były jednak oknem na świat.

Mimo pojawienia się w 1973 r. w Pasterce autobusów w kolejnej edycji rozkładu jazdy Pasterka nie figurowała już w wykazie miejscowości, do których autobusy PKS-u docierały. Może obawa o przejezdność szos zimą, a może niska frekwencja to spowodowały? Wieś w latach 70. XX w. zamieszkiwało jednak niewiele osób. O ile w 1910 r. ówczesna Passendorff liczyła 572 mieszkańców, tak już polska Pasterka w 1970 r. miała tylko 60 mieszkańców. Potem jeszcze mniej. Po rocznej przerwie wieś jednak mimo niewielkiej liczby mieszkańców na dłuższy czas na stałe „zagościła” w rozkładzie jazdy. Oczywiście, rozkład ulegał pewnym modyfikacjom. Na przykład, pojawiały się kursy w relacji Radków – Pasterka z pominięciem Karłowa lub kursy z Pasterki do Kłodzka z tzw. kieszeniowym wjazdem do Karłowa. Co do zasady jednak, to liczba kursów kształtowała się na poziomie trzech-czterech w obu kierunkach na dobę. Przy czym niektóre z nich odbywały się jedynie w sezonie niezimowym. W późniejszym czasie regułą stał się też fakt, iż autobusy jadące do obu miejscowości, leżących na wierzchołku Gór Stołowych, kończyły bieg w Pasterce. Po drodze zajeżdżały tylko do Karłowa. Pewną alternatywą w dojechaniu do Pasterki nadal mogły być autobusy jadące tylko do Karłowa. Do tej ostatniej wsi pojazdów było bowiem nieco więcej.

Niestety, sporo kursów zdążających w pobliże najwyższego wzniesienia Gór Stołowych jeździło tylko sezonowo. Autobusy te były więc dla mieszkańców Karłowa i Pasterki dość iluzoryczne. Trudno bowiem planować dojazdy do pracy lub szkoły tylko na „sezon komunikacyjny”. Od 28.05.1978 r. do Pasterki od strony Radkowa według rozkładu docierały trzy autobusy na dobę, z czego dwa z nich jechały z Kłodzka. W stronę Radkowa zgodnie z rozkładem jeździć miały cztery pojazdy na dobę. Czy wszystkie jeździły? Trudno powiedzieć. Być może, niektóre z nich zawieszano. W październiku 1978 r. „Trybuna Wałbrzyska”, opisując Pasterkę w cyklu „Encyklopedia województwa”, podała, iż *„najbliższy wsi przystanek PKS znajduje się w Karłowie w odległości ok. 1,5 godziny marszu”*. Może to

błąd. O ile to jednak prawda, mogło być tak, że kursy do wsi były zawieszane. Na przykład, zimą poranny kurs z Radkowa mógł stać pod znakiem zapytania, szczególnie w świetle kłopotów z ogumieniem autobusów, na jakie skarżył się wówczas PKS. „W wyniku braku ogumienia w oddziałach PKS województwa wałbrzyskiego wytworzyła się bardzo niekorzystna sytuacja” – alarmowała w październiku 1978 r. „Trybuna Wałbrzyska”. Gazeta ta donosiła, że z tego powodu w kłodzkim oddziale



Wiata nieczynnego przystanku autobusowego w Pasterce. Fot. Autor

PKS-u zagrożonych funkcjonowaniem jest siedem linii lokalnych. Kto wie, czy wśród nich nie planowano zawieszenia kursów do Pasterki.

Ile kosztowała przyjemność jazdy autobusem do tej wsi? Na początku lat 80. minionego stulecia za bilet normalny w relacji Radków – Pasterka z pominięciem wjazdu do Karłowa (15 km) płacono się 7 zł. Ulgowy w tej relacji kosztował 3 zł. Z kolei kto chciał przejechać autobusem z Kłodzka do Pasterki przez Wambierzyce (47 km), musiał się liczyć z wydatkiem 20 zł (za bilet normalny) i 10 zł (za bilet ulgowy).

Niemal od połowy 1989 r. do Pasterki dojechać można było wyjeżdżając z Radkowa o godz. 8.10, 12.14 i 16.10. Przy tym pierwszy autobus jeździł tylko na trasie Radków – Pasterka. Kurs ten odbywał się jedynie w dni robocze. Pozostałe dwa kursy odbywały się w dłuższej relacji Kłodzko – Pasterka. Autobus startujący z Radkowa o godz. 12.14 oznaczony był także jako kursujący tylko w dni robocze. Jednakże, podobnie jak kurs z godz. 16.10 w okresie od 15.06.1989 r. do 31.08.1990 r., według rozkładu, jeździł codziennie. Był to jednak chyba jakiś błąd w rozkładzie. Ten bowiem obowiązywał jedynie do 26.05.1990 r. O jeden kurs więcej miało być w drugą stronę – do Radkowa. Oczywiście nie wszystkie z nich jeździły codziennie. Taki mniej więcej stan utrzymał się przez kolejne lata.

W drugiej połowie lat 90. XX w. już tak kolorowo nie było. Z rozkładu, obowiązującego od 2.06.1996 r. do 31.05.1997 r., wyraźnie wynika, że, przykładowo, poranny kurs z Radkowa do Pasterki, wcześniej odbywający się w dni robocze całorocznie, nie był realizowany od 15.10.1996 r. do 30.04.1997 r. Inna sprawa, ilu osobom przez tyle lat przydatny był taki kurs o tej godzinie. Jeszcze gorzej było pod sam koniec lat 90. Z rozkładu, który obowiązywał od 31.05.1998 r. do 29.05.1999 r. wynika, że Pasterkę w okresie „zimowym” całkowicie już pozbawiono komunikacji autobusowej. Podobnie było w następnych latach. Dodatkowo malała ilość kursów. Pewną nowość „przyniósł” 2003 r. Wraz z wejściem w życie rozkładu jazdy obowiązującego od 15. czerwca tegoż roku można było dojechać do Pasterki bezpośrednim sezonowym autobusem aż z Łądka-Zdroju. Podróż tym kursem zabierała pasażerom 2.20 godz. Później zaniechano tej swoście ciekawej relacji, a w rezultacie następnie jakichkolwiek kursów do Pasterki.

Pozostały nieliczne, sezonowe kursy do Karłowa. W rozkładzie ważnym od 1.05.2014 r. z Kłodzka do tej stołowogórskiej wsi przewidziano trzy autobusy – o godz. 8.40, 11.20 i 16.30. Wszystkie oznaczono jednak jako niekursujące w okresie od 1. października do 31. maja. Oprócz kursów realizowanych przez kłodzki PKS do Karłowa jeżdżą, także okresowo, nieliczne pojazdy czeskich przewoźników. Z tamtejszego przystanku pozostaje nam dreptanie do Pasterki. W tej wsi jedynym śladem po kursowych autobusach jest wiata przystankowa. Czy dane nam będzie jeszcze skorzystanie z niej w oczekiwaniu na kursowy autobus? Czas pokaże.

Bartosz Skowroński

W 2016 r. warto odwiedzić Wrocław – Europejską Stolicę Kultury

Realizowana w Unii Europejskiej Idea Europejskich Stolic Kultury ma na celu wzajemne poznanie się oraz zbliżanie się mieszkańców Europy. Miasto, noszące w danym roku taki tytuł, skupia wtedy na sobie uwagę całej Europy. Idea ESK zrodziła się w 1985 r. podczas spotkania Rady Europejskiej Ministrów Kultury. ESK to miasto, które w owym roku prezentuje zarówno swoją, jak i swojego kraju kulturę. Pierwszym miastem, które otrzymało tytuł ESK, były Ateny. W Polsce pierwszym miastem stał się w 2000 r. Kraków. Wygrał on rywalizację z Reykjavikiem, Bergen i Pragą. Od 2005 r. ESK są w danym roku dwa miasta, jedno ze starej Unii, drugie z państw nowoprzyjętych. W 2011 r. rozstrzygnięto konkurs na ESK w 2016 r. Zostały nią Wrocław i San Sebastian w Hiszpanii. W Polsce ubiegały się o to ponadto Białystok, Bydgoszcz, Gdańsk, Lublin, Łódź, Poznań, Szczecin, Toruń i Warszawa. W drugim etapie pozostały z nich już tylko Gdańsk, Katowice, Lublin, Poznań i Warszawa. Ostatecznie decyzją ekspertów Unii Europejskiej i polskich rzeczoznawców wygrał Wrocław. W tej walce Wrocław przyjął strategię opowiadania o „zapuszczaniu korzeni”, pokazując jego historię, m.in. jak miasto spustoszone, po zakończeniu II wojny światowej, Polacy podnosili z ruin. Wrocław odradzał się i stawał się miastem o wielokulturowej tożsamości. Jednocześnie ma on wielkie aspiracje, od dawna ubiegając się o wiele znaczących światowych imprez, choćby o EXPO, Mistrzostwa Świata w siatkówce, Mistrzostwa Europy w piłce nożnej czy tegoroczne w piłce ręcznej, a w 2017 The Word Games (Igrzyska Sportów Nieolimpijskich). Przez cały 2016 r. Wrocław opowiadał będzie zarówno o swojej przeszłości, jak i prezentował swoją kulturową teraźniejszość. Program wrocławskiej ESK to program ponad 400 projektów, w ramach których odbędzie się ponad 1000 wydarzeń artystycznych: festiwali, koncertów, spektakli, projekcji, konferencji, happeningów czy imprez w przestrzeni miasta. Ważnym elementem wrocławskiej ESK jest rozwijanie inicjatyw mieszkańców miasta, którzy włączani są do współtworzenia poszczególnych projektów i wydarzeń. Niezwykle ciekawą ofertę przygotowała **Opera Wrocławska**. Już 13 marca na jej scenie gościć będzie Diane Damrau. To gwiazda Metropolitan Opery, Covent Garden Theatre i Opery Wiedeńskiej. Kto nie zdąży posłuchać tego wspaniałego sopranu koloraturowego we Wrocławiu, może wybrać się na następny występ artystki do La Scali w Mediolanie, gdzie śpiewać będzie partie contessy Almevivy w *Czarodziejskim flecie* Mozarta. W dniach 30. kwietnia i 1. maja wrocławska opera wystawi rzadko oglądanych na scenach operowych *Poławiaczy perel* Georges Bizeta. Wielką rewelacją, specjalnie przygotowywana na ESK, będzie *Hiszpańska noc z Carmen – Zarzuela show*. Spektakl ten obejrzy 45.115 widzów, gdyż tyle osób pomieści Stadion Miejski Wrocławia. A właśnie tam prezentowane będzie to wspaniałe widowisko, zaś w lipcu wiele razy, bo w dniach 1-3, 8-10 i 15-17, będzie można podziwiać *Toscę* Giacomo Pucciniego.



WROCŁAW 2016
Europejska Stolica Kultury

Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy koncert światowej sławy kompozytora Ennio Morricone. W czasie sześćdziesięciu lat swojej aktywności twórczej skomponował on ponad 600 kompozycji z muzyką filmową, z których wiele stało się wielkimi przebojami. Była to, m.in. muzyka do filmów *Dawno temu w Ameryce*, *Misja*, *Bękarty wojny* czy do filmu biograficznego o Janie Pawle II. Koncert odbył się 23 lutego w Hali Stulecia. Mimo wysokich cen (289-590 zł) wszystkie bilety na ten koncert zostały wyprzedane już jesienią 2015 r. To nie koniec atrakcji muzycznych w 2016 r. we Wrocławiu. Odbędzie się tutaj World Music Days, który jest jednym z najbardziej prestiżowych festiwali muzycznych na świecie. Ma on na celu promocję współczesnej muzyki. Oprócz koncertów odbędą się również debaty, konferencje i spotkania, na których omawiane będą najważniejsze tematy związane z muzyką współczesną. To święto muzyki odbędzie się 1 października.

Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy koncert światowej sławy kompozytora Ennio Morricone. W czasie sześćdziesięciu lat swojej aktywności twórczej skomponował on ponad 600 kompozycji z muzyką filmową, z których wiele stało się wielkimi przebojami. Była to, m.in. muzyka do filmów *Dawno temu w Ameryce*, *Misja*, *Bękarty wojny* czy do filmu biograficznego o Janie Pawle II. Koncert odbył się 23 lutego w Hali Stulecia. Mimo wysokich cen (289-590 zł) wszystkie bilety na ten koncert zostały wyprzedane już jesienią 2015 r. To nie koniec atrakcji muzycznych w 2016 r. we Wrocławiu. Odbędzie się tutaj World Music Days, który jest jednym z najbardziej prestiżowych festiwali muzycznych na świecie. Ma on na celu promocję współczesnej muzyki. Oprócz koncertów odbędą się również debaty, konferencje i spotkania, na których omawiane będą najważniejsze tematy związane z muzyką współczesną. To święto muzyki odbędzie się 1 października.

W 2016 r., obok ESK, Wrocław będzie pełnił rolę Światowej Stolicy Książki. Jest to bardzo prestiżowe wyróżnienie, przyznawane przez UNESCO w danym roku tylko jednemu miastu na świecie. W ramach tego projektu miasto promować będzie książki i czytelnictwo.

W 2015 r. stolicą książki był Pekin. Do ciekawych wydarzeń zaliczyć też trzeba Noc Literatury. W ten sposób Wrocław dołączy do takich miast, jak Dublin, Lizbona, Praga czy Wilno, które taką noc organizują. Na wrocławskiej Nocy prezentowana będą szerokiej publiczności twórczość współczesnych pisarzy. Czytanie literatury odbędzie się w wielu wrocławskich muzeach, galeriach czy księgarniach. Impreza odbędzie się 23. kwietnia.

Również w 2016 r. we Wrocławiu odbędzie się Olimpiada Teatralna. Składa się na nią ponad czterdzieści projektów teatralnych. Wśród nich odbyło się wystawienie *non stop* na scenie Teatru Polskiego pełnego tekstu *Dziadów* Adama Mickiewicza – pierwsze w historii, owacyjnie przyjęte. Trzeba zaznaczyć, że Andrzej Duda wycofał zapowiadany wcześniej patronat Prezydenta RP nad tym wydarzeniem. Będzie też trzydniowy festiwal najlepszych spektakli wszystkich teatrów Wrocławia. Zorganizowana zostanie Dolnośląska Platforma Teatralna, w ramach której we Wrocławiu zagospozczą teatry z Wałbrzycha, Legnicy i Jeleniej Góry. Wrocławski Teatr Współczesny wystawi sztuki Tadeusza Różewicza czy Helmuta Kajzera. Nieodłączną częścią Olimpiady Teatralnej będą cykliczne, co roku odbywane takie imprezy, jak Przegląd Piosenki Aktorskiej, Brave Festiwal czy Festiwal Komedii. Zapowiedziano też otwarcie we Wrocławiu Muzeum Teatru.

Muzeum Architektury w okresie od 30. września do 20. listopada zaprezentuje wystawę *Lwów – miasto i architektura*. Zaprezentowana zostanie na niej modernistyczna architektura i urbanistyka Lwowa w czasach II Rzeczypospolitej. Projekt *Architektura Wrocławia XX i XXI w.* ma trafić do wszystkich mieszkańców miasta. Będzie to przewodnik umożliwiający turystykę architektoniczną po najciekawszych obiektach Wrocławia powstałych od 1900 r. po dzisiaj, zaś celem projektu *Galeriowiec* jest renowacja unikatowego wrocławskiej architektury modernistycznej okresu powojennego. Chodzi o budynek Galeriowca przy ul. Kołłątaja 9-12. Wśród wielu wystaw na szczególną uwagę zasługuje wystawa oryginalnych zdjęć Marilyn Monroe, które prezentowano do 24. marca w Domu Miedziorytnika, mieszczącym się w kamienicze „Jaś” przy wrocławskim Rynku. Głównie są to fotografie z planu filmu *Przystanek autobusowy*.

W 2016 r. Wrocław będzie organizował ceremonię przyznania Europejskich Nagród Filmowych. W latach nieparzystych ceremonia ta odbywa się zawsze w Berlinie, zaś w latach parzystych organizator zmienia się. W tym roku zaszczytu tego dostąpił właśnie Wrocław.

Jeśli chodzi o film, to w okresie od 23. lipca do 2. sierpnia odbędzie się we Wrocławiu XV Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Prezentowane będą na nim filmy kina artystycznego – niekonwencjonalnego. Wyświetlone zostaną obrazy mistrzów światowego kina, takie jak *Cometery of Splendour* Apichatponga Weerasethakula, *Afternoon* Tsaia Ming-lianga, *Office* Johniego To czy *The 1.000 Eyes of Dr. Maddin* Yvesa Montmayeura. Odbędzie się też przegląd filmów włoskiego reżysera Pippo Delbono. Wyświetlony zostanie jeden z najlepszych filmów hiszpańskich, a mianowicie *Duch rajy* Victore Erice.

Europejska Stolica Kultury to ponad 1000 imprez prezentujących na cały Świat dorobek kulturowy Wrocławia, Dolnego Śląska i naszego kraju.

Stanisław Dziuba



Poznajemy Bagno

Bagno (niem. Heinzendorf) to wieś położona 7 km na północo-zachód od Obornik Śląskich (pow. Trzebnicki na Dolnym Śląsku). Badania archeologiczne potwierdziły istnienie tu osadnictwa z okresu mezolitu, neolitu oraz kultury łużyckiej. Na XIII-XIV w. datowane jest grodzisko koło Bagna. Wieś wzmiankowana była po raz pierwszy 7.04.1301 r., kościół w 1397 r. Przez wieki wieś była posiadłością rycerską, m.in. w 1337 r. Poppona von Haugwitz, w początkach XVII w. Zygmunta von Lamberg (...1619), w 1700 r. Katarzyny von Roth. W 1719 r. Bagno należało do rodziny Wentzkych, później Seherr-Thoss. W 1766 r. kupił je von Posadovsky, w 1783 r. stała się własnością von Schlabrendorfów, a w dwa lata potem rodu von Schönaich-Beuten. W 1788 r. Bagno kupił gen. von Schliechting, w 1811 r. odkupił je komisarz policji F. G. Canabaus. Od 1850 r. wieś należała do G. Kieslera ze Zgorzelca, by w 1861 r. stać się własnością F. von Versen. W 1867 r. nabył ją konsul w Bremie E. Büssing. Sytuacja ta ustabilizowała się, gdy wieś kupił w 1905 r. wrocławski browarnik Georg Kiessling. W latach dwudziestych XX w. do wsi napłynęła pewna ilość osadników z Wołynia. Otrzymali oni działki z rozparcelowanego wówczas folwarku, w związku z czym powstała mała kolonia. Wtedy też Kiesslingowie opuścili pałac. W 1930 r. kupił go salwatorianie, organizując tu klasztor, w 1933 r. przejmując folwark. Wojsko radzieckie wkroczyło tu 26.01.1945 r. We wsi znajduje się sklep spożywczy i przystanek PKS.

Kościół parafialny p.w. Wniebowzięcia NMP od końca XVI w. służył ewangelikom. Przed 1666 r. został zrekatolizowany. Ze względu na groźbę zawalenia świątynię rozebrano około 1900 r. Nowy, neoromański wznieziono z funduszy właścicieli Bagna Keisslingów w latach 1905-1906. Remontowany był w 1964 r. Wyposażenie wnętrza jest neogotyckie z elementami neoromanizmu z początku XX w., plebania (nr 31) z końca XIX w.

Pałac to obecnie klasztor i Wyższe Seminarium Duchowne Ojców Salwatorianów. Pierwszy zamek powstał w połowie XIII w. z inicjatywy księcia Konrada II oleśnickiego. Założenie to uległo zniszczeniu w czasie wojny trzydziestoletniej (1618-1648). W latach



Kościół parafialny p.w. Wniebowzięcia NMP



Pałac – obecnie klasztor i Seminarium Duchowne Ojców Salwatorianów



Wnętrze pałacu w 1911 r. Fot. dolny-slask.org.pl/

1720-1734 (1743?) powstał barokowy dwór, stanowiący zachodnie skrzydło obecnego zespołu. Wzniesli go przedstawiciele rodziny von Seherr-Thoss. Nowe, wschodnie skrzydło neobarokowe, powstało około 1913 r. W 1914 r. miał tu gościć cesarz Wilhelm II, ale przeszkodził temu wybuch I wojny światowej. W sierpniu 1930 r. pałac zakupili Salwatorianie, dokonując jego adaptacji na cele klasztorne.

W zapleczu rozciąga się park krajobrazowy. Pierwotny powstał prawdopodobnie w XVIII w., w późniejszym czasie był przekształcony, głównie w połowie XIX w. i w latach trzydziestych XX w. W parku znajduje się grotta MB z 1932 r. i kapliczka zwana Diasporą, powstała w 1934 r. W 1936 r. w południowo-zachodnim narożniku parku ustawiono kamienny pomnik ks. Franciszka Jordana – założyciela zgromadzenia.

Wśród starszych budowli wyróżniają się następujące. Dom nr 2 z 2. poł. XIX w., zagroda nr 3, z przeł. XIX i XX w., stodoła z ok. 1890 r., szachulcowa. Zagroda nr 5 b: budynek gospodarczy z pocz. XX w., stodoła z pocz. XX w., szachulcowa. Dom nr 6 z pocz. XX w., dom nr 7 z ok. 1920 r., budynek mieszkalno-gospodarczy nr 9 z przeł. XIX i XX w., budynek gospodarczy w zagrodzie nr 11 z pocz. XX w., szachulcowa. Zagroda nr 12, z przeł. XIX i XX w., dom nr 13 z k. XIX w., dom nr 14 z ok. 1920 r., stodoła szachulcowa w zagrodzie nr 15 z pocz. XX w., dom nr 17 z pocz. XX w., zagroda nr 18 z pocz. XX w., zagroda nr 19 z ok. 1920 r., zagroda nr 20 z k. XIX w. Zagroda nr 21 z k. XIX w., dom nr 28 z ok. 1920 r., dom nr 30 z 1930 r., dom nr 33 z k. XIX w., dom nr 35 z ok. 1870 r., dom nr 37 z ok. 1930 r., zagroda nr 38 z ok. 1880 r., stodoła z poł. XIX w., szachulcowa. Dom nr 39 z k. XIX w., dom nr 41 z k. XIX w., zagroda nr 42 z k. XIX w., dom nr 43 z k. XIX w., stodoła w zagrodzie nr 45 z k. XIX w., z muru pruskiego. Zagroda nr 48 z pocz. XX w., dom nr 49 z k. XIX w., stodoła w zagrodzie nr 50 z k. XIX w., zagroda nr 51 z k. XIX w., stodoła w zagrodzie nr 52 z k. XIX w., zagroda nr 53 z pocz. XX w., dom nr 56 z I. 20. XX w., dom nr 60 z ok. 1910-1920 r., kapliczka słupowa z 1990 r., o formach neogotyckich, stacja transformatorowa z 1. 20.-30. XX w., stacja transformatorowa z 1. 20. XX w.

Grodzisko średniowieczne, datowane na XIII-XIV w., usytuowane jest w lesie, około 1 km na północo-zachód od zachodniego skraju wsi. Ma ono wymiary 20x16 m. Wysokość majdanu wału wynosi około 3,5 m. Otoczone jest fosą wypełnioną wodą, szerokości około 5 m i głębokości 0,5 m. Od zewnątrz fosa ma wał wysokości 1 m. Od północy zachował się cypel, stanowiący przyczółek dawnego mostu. Na teren grodziska wiedzie obecnie kamienny most z 1915 r.

Jerzy Maciejewski

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Miejsca, którymi Radom może się pochwalić

Katedra, zwana potocznie przez radomian **kościółem Mariackim**, została zaprojektowana w 1896 r. przez architekta Józefa Piusa Dziekońskiego, który wcześniej stworzył projekt bardzo podobnego kościoła p.w. św. Floriana na warszawskiej Pradze. Uroczyste poświęcenie w obecności licznie zgromadzonych mieszkańców Radomia miało miejsce 22.11.1908 r. W 1981 r. Jan Paweł II podniósł kościół do rangi konkatedry diecezji sandomiersko-radomskiej, a w 1992 r. do rangi katedry diecezji radomskiej. **Kościół św. Wacława** na Starym Mieście – najstarszy obiekt Radomia, pochodzi z XIII w. Na miejsce starej, drewnianej świątyni wzniesiono murowaną, wielokrotnie przebudowaną. Na początku XIX w. została ona zajęta przez Austriaków i użytkowana jako magazyn, a w latach powojennych jako szpital psychiatryczny. Przebudowano ją w latach 1978-1986 według projektu Wiktora Zina. **Kościół i klasztor bernardynów p.w. św. Katarzyny** pochodzi z XV/XVI w. i jest gotycki z renesansowym szczytem z XVII w. Rozbudowano go w latach 1911-1912 według projektu Stefana Szyllera. Wieża klasztoru nakryta jest barokowym hełmem. Wewnątrz znajdują się liczne nagrobki i tablice od XVI w. poczynając, wielki ołtarz z krucyfiksem i figurami przypisywanymi szkole Wita Stwosza. Zespół klasztorny zachował się w prawie pierwotnym kształcie. Równoległe do osi kościoła wzniesione jest skrzydło klasztorne, zakończone od strony wschodniej i zachodniej charakterystycznymi szczytami. Budowlę nie otynkowano, ma ona mur gotycki z cegły dużego formatu. Widoczne jest deseniowanie z cegły ciemno wypalonej. Dach, kryty dachówką, postawiono wysoko, wieża z hełmem, nadbudowana w epoce baroku na kamiennych wspornikach. **Kościół Św. Trójcy** to dawniejszy kościół i klasztor sióstr benedyktynek. Ufundowany on został przez starostę zwoleńskiego Jana Tarło z zapisu swojej matki i zbudowany w latach 1619-1627 w stylu barokowym. Po spaleniu go odbudowano w latach 1678-1691



Gmach sandomierskiej komisji wojewódzkiej, klasztor Bernardynów, fontanny przy placu Konstytucji 3 Maja, Katedra, ulica Moniuszki, ulica Piłsudskiego. Fot. www.wikipedia.pl

według projektu znanego Tylmana z Gameren. Klasztor powstał w latach 1696-1733, obecnie użytkowany jest przez jezuitów. Podczas wojen napoleońskich mieścił się tam lazaret wojskowy. W 1836 r. kościół przebudowano na cerkiew, która istniała tam do 1887 r. Wtedy to została ona zamknięta ze względu na zły stan techniczny budynku. Sylwetka kościoła jest i dzisiaj jednym z ciekawszych i charakterystycznych fragmentów Radomia po przebudowie w latach 1924-1927. Po ostatniej wojnie do końca XX w. w klasztorze znajdowało się więzienie. **Kościół farny p.w. św. Jana Chrzciciela** ufundowany był w latach 1360-1370 przez Kazimierza Wielkiego i wielokrotnie przebudowany. Kościół jest trzynawowy, o krakowskim systemie filaro-skarpowym, orientowany według średniowiecznej zasady (prezbiterium skierowane jest na wschód). Ostateczny wygląd kościół zyskał w latach 1909-1911. Wewnątrz obejrzyć można ciekawe detale, m.in. gotyckie rzeźby MB z XIV w. i stalle z XVII w. Naprzeciw fary znajduje się plebania jako pozostałość zamku królewskiego z około 1360 r. i zniszczonego przez Szwedów.

Wyróżnia się też **Kolegium Pijarów** (Rynek 11), wzniesione w latach 1737-1756 według projektu Antoniego Solariego. Fasada z kolumnami pochodzi z lat 1818-1820. Zewnętrzny wygląd architektoniczny, który dotrwał do dzisiaj, został nadany w latach 1818-1820. Poważna, dwukondygnacyjna, siedemnastoosiowa bryła gmachu, opartego na wysokim cokole, wkomponowana jest w południową pierzeję Rynku. Stopniowa rozbudowa Kolegium Pijarów wchłonęła średniowieczne fragmenty Bramy Hłeckiej oraz murów obronnych z basztą. Fragmenty te zachowały się do chwili obecnej od strony ul. Wałowej. Do 1830 r. mieściła się tutaj szkoła pijarów, później gimnazjum rządowe, zaś po II wojnie światowej – państwowe szkoły średnie. Obecnie mieści się tu siedziba Muzeum Okręgowego.

Ratusz (Rynek 1) to budynek neorenesansowy, zbudowany w latach 1847-1848 według projektu Henryka Marconiego na wzór renesansowego *palazzo municipale*. Ten dwukondygnacyjny obiekt z wysoką attyką, zwieńczoną krenelazem o formach gotyckich, zakończony jest od strony zachodniej smukłą wieżą zegarową o wysokości około 22 m. Pod koniec lat 90. XX w. prowadzone były na niej prace mające na celu umieszczenie zegara. Każdego dnia o godz. 12 zegar gra hejnał miasta Radomia – „Alleluja” Mikołaja z Radomia, w wykonaniu uczniów Zespołu Szkół Muzycznych. Do gmachu głównego przylegał oddzielony bramą przejazdową parterowy budynek kordegardy z trzyprzęsłowym podcieniem. Oba obiekty uległy z biegiem czasu przeróbkom, przy czym styl architektoniczny nie uległ zmianie. Obecnie ratusz jest siedzibą Archiwum Państwowego.

Urząd Miejski – usytuowany przy ul. Żeromskiego, powstał w latach 1825-1827 według projektu architekta Antoniego Corazziego na zamówienie rosyjskiego gubernatora. Poprzeczne parterowe skrzydło gospodarcze zamykało budynek w czworobok, tworząc dziedziniec wewnętrzny. Przed gmachem, odsuniętym w głąb od linii zabudowy, utworzono okazały plac przedwejściowy o wymiarach około 120x40 m ze skwerem, obramowanym wysokopiennymi drzewami i krzewami. Na tyłach założono ogród, który nieco później otrzymał romantyczny akcent w postaci neogotyckiej wieży ze szklarnią. Środkowy ryzalit, bardziej wysunięty, zaakcentowany jest czterema kolumnami, tworzącymi podcień balkonu na pierwszym piętrze. W latach 1975-1999 mieścił się tu Urząd Wojewódzki, a obecnie delegatura Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego i Urząd Miejski.

Resursa Obywatelska została zbudowana w latach 1851-1852 według projektu Ludwika Radziszewskiego. Nad głównym wejściem umieszczono tympanon z posągami trzech muz: Talii, Melpomeny, Euterpe. Jest to budynek parterowy o elewacji frontowej długości 35 m, z jednopiętrową częścią środkową, podkreśloną przez wysunięty podjazd z balkonem. Strome, kryte dachówką dachy nad parterowymi skrzydłami wiązały całość w zwartą bryłę. Budynek resursy, pomimo korzystnej lokalizacji, nie nawiązuje do skali wielkomiejskiej, zapoczątkowanej przez Corazziego i kontynuowanej przez Marconiego. W czasie I wojny światowej był tutaj szpital wojskowy. Obecnie Resursa jest siedzibą kina o tej samej nazwie oraz Ośrodka Kultury i Sztuki. Naprzeciwko budynku stoi pomnik Jacka Malczewskiego.

Naprzeciwko Kolegium wznoszą się dwie ciekawe kamienice. **Dom Esterki** (z lewej) wzięła swoją nazwę od imienia domniemanej faworyty Kazimierza Wielkiego, która, według niesprawdzonych do końca przekazów, miała tu zamieszkiwać. Nazwa ta powstała zresztą stosunkowo niedawno – w XIX w. Inna nazwa, popularna jeszcze na przełomie XIX i XX w., to Dom Senatorski. Badania wskazują, że obiekt ten pochodzi z XV lub XVI w. Prawdopodobnie wielokrotnie przebudowywany, został prawie całkowicie rozebrany przez Niemców w czasie II wojny światowej. Obecnie kształt

budynku jest wynikiem odbudowy, dokonanej w latach 1956-1960, w czasie której, niestety, tylko w niewielkim stopniu wzorowano się na szkicach Józefa Brandta z lat 80 XIX w. i przedwojennych fotografiach, dostosowując wygląd elewacji szczytowej do sąsiedniego Domu Gąski. **Dom Gąski** został wzniesiony na przełomie XVI i XVII w. przez sławnego radomskiego mieszczanina i radcę miejskiego Adama (lub Stanisława) Gąskę. W lipcu 1656 r. mieszkał tu król szwedzki Karol Gustaw. W 2 połowie XVIII w. w budynku mieściła się apteka Krystiana Valentino, w latach 1818-1819 biura magistrackie (po rozebraniu stojącego na środku rynku ratusza), a od początku XX w. do 1918 r. hurtownia piwa.

Pomnik Czynu Legionów został wystawiony w 1930 r. W 1940 r. zburzyli go niemieccy okupanci. W 80. rocznicę odzyskania niepodległości, w 1998 r., ponownie stanął na radomskim rynku.

Paulina Guzińska

Kornuty na kajakach

GGT „Kornuty” nie mogła stawić się na spotkanie w pełnym składzie. Ubył nam Krzyś, który od jakiegoś czasu nadawał zabójcze tempo pieszym wyprawom. Wyrwał tak do przodu, że nawet szef Wojtek nie mógł go dogonić. Dopatrywaliśmy się w tym jakiegoś zamachu na stanowisko brata i wielkiego pragnienia przewodzenia „turystycznym ludem”. W tę niedzielę zapomniał jednak o ambicjach i pojechał szukać nowych wrażeń na Mazurach. Cały miesiąc ćwiczył pływanie pod wodą w swoim basenie (2 na 5 m), by dobrze przygotować się na ewentualną wywrotkę w realnych warunkach jeziornych odmętów. Krzyś miał zdobyty w młodości patent sternika jachtowego, ale reszta uczestników wyprawy liczyła bardziej na jego zdolności kulinarne. Nawet obecne tam kobiety oddały mu całkowicie władzę pasując na kucharza okrętowego. Takie dotarły do nas informacje, choć menu nie było podane. Żałowaliśmy, że nas opuścił, ale nie na tyle, by ronić łzy i siedzieć w domu z żalości. O, nie!

Wojtek wyznaczył Lipusz jako miejsce zbiórki na rajd pieszy. Po cichu liczył jednak na spływ, bo zapowiedziano piękną pogodę. No i się nie przeliczył. Zdzisiu zadzwonił rankiem z propozycją, by pracę nóg zamienić na wysiłek rąk. Kajaki czekały na nas tylko w leśniczówce *Młynki*. Nie było problemu ze zmianą planów. Trzy kajaki zawieziono nam do Żurawek. Tym razem mieliśmy babską załogę – Basia z Małgosią i jeden kajak z samotnym Zdzichem. Ze względu na słabą pleć w nadmiarze planowaliśmy upłynąć tylko do Błędna, czyli około 13 km. Rzeka błyszczała w słońcu i zapowiadała piękne wrażenia. Choć mogło być różnie. Na naszych oczach kajak z młodymi chłopakami przewrócił się, a załoga siedziała po szyję w wodzie z całkiem wystraszonymi minami. Wylewanie wody z takiej łajby nie należało do przyjemności, bo ciężar to okrutny. Postanowiliśmy płynąć statecznie i rozważnie, bo na przymusową kąpiel nie mieliśmy ochoty. Wszak wolny wybór miejsca i czasu na moczenie ciała miał duże znaczenie dla przyjemności doznań. Zdzisiu tego dnia postanowił oddać się marzeniom i kontemplacji. Próbował też znaleźć się w położeniu ślepca na wodzie. Jego kajak miał więc dziwny tor ruchu – czasami od brzegu do brzegu, ale Zdzisiu twierdził, że z zamkniętymi oczyma widzi się więcej. Nikt z nas nie odważył się sprawdzić jego tezy, ale uwierzyliśmy mu na słowo, dodając, że słyszy się zapewne lepiej.

Basia była kapitanem i co chwilę słyhać było jej polecenia dla załogi; „lewa, lewa,



a teraz prawa”. Ale były też momenty, gdy woda przyniosła komendę: „teraz już nic nie rób”. Małgosia, wytresowana przez Krzysia, nie miała problemów z posłuszeństwem. Obie dziewczyny dzielnie pokonywały zarówno kilometry, jak i przeszkody. Tych zresztą na Wdzie nie było zbyt dużo. Błękit nieba nad głowami, zielone ściany lasów i różnorakie ptactwo na wodzie umilały nam czas spływu. Po dwóch i pół godzinie dotarliśmy do Błędna. Kiedy wysiedliśmy na brzeg, dotarło do nas, jaki wielki jest upał. Ziemia parzyła w stopy, powietrze stało i chcieliśmy zaraz robić „w tył zwrot”.



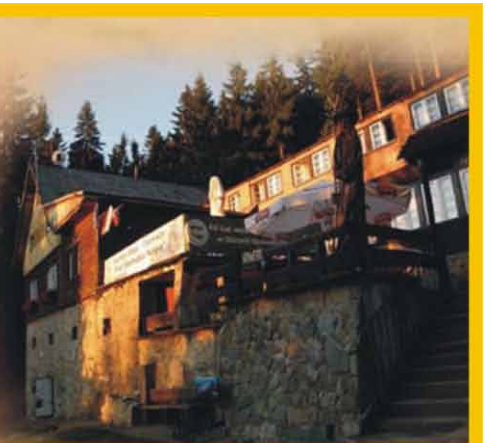
Głód przytrzymał nas jednak na krótkim biwaku. Do żołądka trafiły produkty, które w pośpiechu kupowaliśmy rano po zmianie planów. Małgosia, jak zwykle, zadbała o kawę. Nie przeciągaliśmy jednak posiłku. Temperatura kazała nam się szybko zwinąć ponownie na wodę. Planowane początkowo słodkie lenistwo zamieniliśmy na ciężką pracę wiosł, byle wśród rzecznych fal i miłego wietrzyku. Następna możliwość postoju wypadła dopiero w Starej Rzece, po 12 km. Płynęliśmy dziarsko. W pewnym momencie na Wdzie pojawiły się bystrza i kajaki nabrały nowych prędkości. Teraz trzeba było też więcej uważać, bo powstało więcej przeszkód. Dwa razy drzewa skutecznie odcięły nam drogę. Poważone w poprzek koryta zmusiły do przenosek. Druga przeprawa miała miejsce tuż przed metą, gdzie czekał już na nas leśniczy z transportem powrotnym.

Kiedy kajaki były już zapakowane, miły kierowca zawiózł nas w miejsca, gdzie przed kilkoma tygodniami przeszła trąba powietrzna. Oglądaliśmy skutki jej działania: 500 ha Borów Tucholskich zostało zniszczonych doszczętnie. Drzewa leżały powalone jak zapalki, choć zrobiono już wiele porządków. Niesamowite wrażenie robił dom, dokoła którego drzewa były ucięte jakby elektryczną piłą. On sam stracił tylko trochę dachówek. Po czasie ludzie chyba zrozumieli swoje szczęście. Wiele domów we wsi miało pozrywane dachy. Tu z ludźmi i ich majątkiem igrał prawdziwy żywioł. Odebrało nam mowę i w ciszy przypatrywaliśmy się zniszczeniom.

Po powrocie do Młynków, jak zwykle, zrobiliśmy ognisko. Zdzisiu serwował „czarną kielbasę” bez dodatków, a Wojtek kurczaka z grilla. Do tego obowiązkowe piwo. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy my radowaliśmy się dniem i jego urokami. Wda będzie już na zawsze naszą miłością. Basia i Małgosia poznają ją po raz pierwszy, Zdzisiu i Wojtek po raz drugi, a Marysia – trzeci.

Maria Chróścicka

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Cel: Przerzeczyn-Zdrój – najmniejsze dolnośląskie uzdrowisko

Turysta, który chciałby penetrować Wzgórza Niemczańskie z pomocą mapy „Wzgórza Niemczańsko-Strzelińskie” PPWK z 1992 r., dozna prawdziwego szoku. Nie tylko dlatego, że jest ona dość uboga w rozmaite szczegóły topograficzne. Od czasu jej wydania teren, który w wielu miejscach był turystyczną pustynią, gdy chodzi o znakowane szlaki turystyczne, teraz staje się powoli ich zagłębiem. No, może nie takim, jak inne, popularniejsze partie Sudetów i ich przedgórze, ale jednak. Idąc tu i ówdzie można się natknąć na tradycyjne PTTK-owskie znaki szlaków. Obrazek w tych stronach niegdyś niemal egzotyczny. Jak na ironię, turystów po nich się poruszających nie widać zbyt wielu. Jednym z takich rzadko uczęszczanych szlaków jest trasa wyznakowana kolorem czarnym w 2000 r., umożliwiająca piechurowi wędrówkę z Ziębic aż do Pilawy Dolnej. Na jeden dzień w zupełności turyście wystarczy jednak jej tytułowy odcinek. Od „kółeczka”, oznaczającego początek szlaku w Ziębicach, do skrzyżowania z szosą nr 8 w Przerzeczynie-Zdroju liczy 31 km. Sam marsz, nie licząc postojów, na tym odcinku w warunkach letnich zajmie turyście 9 godz.

W Ziębicach – mieście, które miało być ponoć lokowane przez syna Henryka Pobożnego, a mianowicie księcia wrocławskiego Henryka III Białego, szlak zaczyna się w miejscu wręcz idealnym dla przyjezdnych: obok dworca kolejowego. Na tabliczce, przymocowanej do słupa energetycznego, na którym zawieszono są też szlakowskazy, podano, że początek tej znakowanej trasy znajduje się na wysokości 205 m. Do Przerzeczyna-Zdroju stąd daleko. Być może, dlatego na szlakowskazie potencjalny piechur nie znajdzie czasu marszu do tej uzdrowskiej wsi. Pierwszy cel, jaki podany został na tablicy kierującej wędrowców za czarnymi znakami, to Krzelków. Nim turysta się tam znajdzie, czeka go marsz wzdłuż asfaltowej szosy. Najpierw wśród zabudowań Ziębic, które w tej części miejscami bardziej przypominają wieś niż miasto. Potem aż do wsi Lipa wzdłuż pól uprawnych i wreszcie wśród jej zabudowań. Dawniej czarny szlak prowadził na tym odcinku inaczej. Zaraz za ostatnimi budynkami Ziębic odbijał w prawo, prowadząc polną, widokową drogą, a później... bez jakiegokolwiek ścieżki czy drogi wzdłuż szpaleru drzew, rosnących na granicach polnych miedz. Śladem tego są chyba zamalowane znaki, umieszczone w pobliżu ostatnich od strony Jasłówka zabudowań Lipy. Do Jasłówka zaś szlak prowadzi z niej bardzo widokową polną dróżką. Raz po raz, zerkającemu w prawo turyście, za doliną blisko płynącej Oławy, otworzą się piękne panoramy Wzgórz Strzelińskich. Jeszcze przed zabudowaniami Jasłówka droga przechodzi nad małym, ale wyraźnym ciekim. To Czarna, uchodząca zaraz do Oławy. Chwilę potem, po przejściu 4,5 km (1.10 godz.) od punktu startu, szlak doprowadza do zabudowań. Jasłówek to dosłownie kilka domów posadowionych przy rozstajach polnych dróg. Nic w tym dziwnego. Osada stanowiła niegdyś folwark. Dziś folwarku nie ma, za to na amatora czarnego szlaku czeka stąd lekkie podejście szeroką polną, momentami widokową drogą. Dla odmiany już wśród zwartych zabudowań Krzelkowa z gruntowej drogi szlak sprowadza na asfaltową, a potem wiedzie wzdłuż wyłożonej kostką brukową. Mija z lewej dwór z XIX w. i poniżej łatwego do przegapienia z bliska (choć doskonale widocznego z odległości!) kościoła i chyba bardziej rzucającego się w oczy sklepu odbija w prawo. Tam znów wkracza na polną drogę, która przez spory odcinek prowadzi równoległe do domostw Czerńcyc. Pojedyncze zabudowania tej wsi, w tym wieżę barokowego obecnie kościoła, dojrzeć z niej można tylko punktowo. Leżą one dużo niżej aniżeli polny trakt, którym wędruje tu turysta. Ma on jednak okazję do podziwiania majaczących na horyzoncie wzniesień Sudetów Środkowych i Wschodnich.

Przez długi czas przy szlaku nie ma żadnych zabudowań. Piechur, który stęskni się za ich widokiem, będzie miał okazję nadrobić stratę dopiero w Muszkowicach. A ściślej przy samotnym

gospodarstwie oznaczonym jako Muszkowice 55, do którego jest 10 km (2.30 godz.). Mimo iż do zwartych zabudowań tej wsi mamy stąd około 1,5 km, administracyjnie gospodarstwo to należy do Muszkowic. Piechur znajduje się więc na terenie tej wsi. Dawniej mieściła się tu gajówka. O przyszłościowy krok od tych zabudowań zaczyna się jeden z ciekawszych zwartych kompleksów leśnych na Przedgórzu Sudeckim. Mowa o historycznym Bukowym Lesie, wzmiankowanym jeszcze w równie historycznej *Księdze Henrykowskiej*. Przez las szlak prowadzi najpierw nieco z górki. Styka się ze szlakiem niebieskim, łączącym m.in. Henryków z Ząbkowicami Śląskimi. Prowadzi wzdłuż doliny Zamecznego Potoku duktem, potem wzdłuż asfaltowej szosy. Jeszcze później lekko pod górkę i wreszcie prawie po poziomicy. Na ostatnim z wymienionych odcinków leśna droga jest miejscami nieco zarośnięta. Jeszcze bardziej zarośnięta jest ścieżka, którą szlak wyprowadzi piechura na skraj pól uprawnych. Tam czeka turystę wędrowka polną drogą do dość ruchliwej szosy łączącej drogę wojewódzką nr 395 z Ząbkowicami Śląskimi. Szlak zaraz z niej wkracza jednak na polną drogę, z której doskonale widać spore skupisko większych i mniejszych zabudowań. Ta duża wieś to Ciepłowody. Do ich „centrum” turysta, idący czarnym szlakiem z Ziębic, dotrze po przejściu 19 km (5 godz.). Ich nazwa nie jest przypadkowa. Nawiązuje do podwyższonej temperatury wód podziemnych, których strefa znajduje się w rejonie byłego PGR-u oraz w północnej części wsi. Dawniej można było tu dojechać pociągiem. Linie kolejowe, a był tu nawet ich lokalny węzeł, dawno już nie istnieją. Piechur, być może, nawet nie zorientuje się, że jego trasa przecina dawne torowisko. Nie ma po nim bowiem śladu. Po prostu wygląda jak „normalna” gruntowa droga. Przejście wśród zabudowań daje za to okazję do dokonania zakupów. Istotne to o tyle, że później, aż do Przerzeczyna-Zdroju, sklepu turysta nie uświadczy. Piechur zetknie się we wsi ze znakami szlaku niebieskiego, łączącego m.in. Karczowice z gminnymi Kondratowicami: to kolejne skrzyżowanie z inną znakowaną trasą. We wsi zacieka pewnie też tabliczka *Szlaku Legend*. Mniej może płynąca tu Mała Śleza.

Dawniej ze zwartych zabudowań szlak wyprowadzał asfaltem do podnóża Kawczej, zwanej częścią Kawia Górą lub Łysicą (339 m). Obecnie wiedzie gruntową drogą, podchodzącą coraz wyżej na zbocza tej górki, a tym samym na grzbiet Wzgórz Dobrzenickich, jednego z pasemek Wzgórz Niemczańskich. Kawia Góra zbudowana jest m.in. z łupków łyszczykowych. Dawnego ich wyrobiska nie sposób przegapić, ale łupki można zobaczyć także pod nogami. Chyba ciekawsza niż one jest wieża widokowa 12 m wysokości. Doprowadza do niej szlak dojściowy (białoniebieskie trójkąty). To jedna z atrakcji gminy Ciepłowody, posadowiona przy tym dość osobliwie. Mała która wieża widokowa stoi bowiem na granicy pola uprawnego z rosnącą np. kukurydzą. A ta właśnie tak. Podziwiać można z niej nie tylko uprawy. Zmęczony trasą wędrowiec zachwyci się w tym miejscu widocznymi na horyzoncie panoramami dość odległych pasm Sudetów i ich przedgórze. Góry Sowie, Góry Bardzkie, dalsze partie Wzgórz Niemczańskich, Wzgórz Strzelińskie to tylko mała część tego, co można stąd zobaczyć.

Z wieży trzeba jednak zejść na ziemię. Dosłownie, choć piechura czeka jeszcze zejście drewnianymi schodkami, którymi zmierzał tu w drodze na wierzchołek. Później zaś wędrowka polną, miejscami widokową, drogą do Ruszkowic. To kolejna niewielka osada na czarnym szlaku. Nie tylko jednak one do niej prowadzą. Piechur wypatrzy tu bez trudu również oznakowania szlaku niebieskiego. Dotrzeć nim można także do Przerzeczyna-Zdroju, znacznie szybciej niż czarnym. Tymczasem opisywanej trasie towarzyszy odcinek wspomnianego niebieskiego szlaku, prowadzącego jednak w zupełnie innym kierunku – w stronę tzw. Przełęczy nad Błotnicą. Czarny szlak mija z prawej, „wołający



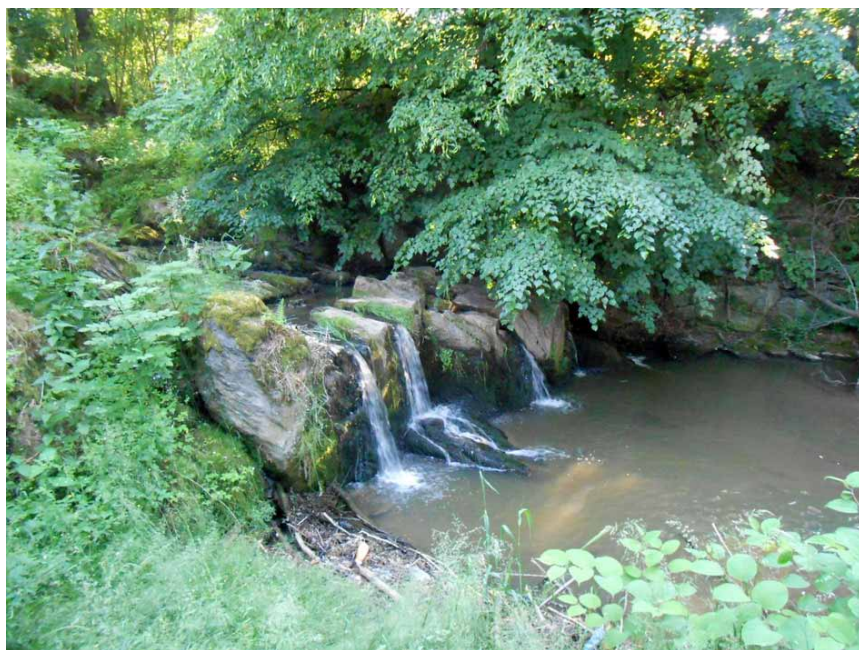
Wieża widokowa na Kawiej Górze

o remont” (!) dwór z XIX w., wiodąc wędrowca nieco pod górkę. Jednak to dopiero początek najbardziej jego „górskiego” odcinka. Taki czeka turystę wyżej, na zboczach Ostrej Góry, zwanej też Górą Szpic. To najwyższe wzniesienie Wzgórz Dębowych, kolejnego z pasemek Wzgórz Niemczańskich. W zasadzie ma ona dwie kulminacje: niższą (353 m) i wyższą (360 m). Na tej wyższej stoi pozbawiona większości stopni, zdezelowana, a tym samym niedostępna wieża widokowa. Nici więc z widoków. Piechur ma za to okazję przekonać się o pewnej stromości tej niewysokiej górkę schodząc z niej w stronę zabudowań Podlesia. Nim się do nich dotrze, tuż poniżej wierzchołka czekają turystę takie „atrakcje”, jak pokrzywy i cała masa innego zielska, także kłującego i parzącego. Niektórym sięgnie po kolana, innym po pas, jeszcze innym może i po szyję. Trzeba się tu nieźle przedzierać. A prowadzą tu aż trzy szlaki (poza opisywanym czarnym jeszcze żółty, łączący m.in. Niemczę z Białym Kościołem i czerwony, łączący m.in. Karczowice z Oleszną).



Niedostępna, zdezelowana wieża widokowa na Ostrej Górze

Trochę łatwiej jest dopiero niżej, gdzie nieco klucząc wędruje się leśnymi dróżkami, choć i tam natrafić można na odcinki „zapokrzywione”. Blisko skraju lasu szlak żółty odbija w kierunku Niemczy. Czarny wraz z czerwonym doprowadza do zabudowań Podlesia, wsi nad Ślężą (nie Ślężą!), która chce chyba stawiać na turystykę. Świadczyć o tym może tablica stojąca na jej skraju, a zaczynająca się od słów: *Podlesie przy lesie, jak wieść gminna niesie, kasztany, platany i chłopów zdrowych tu mamy*. Z Podlesia przy lesie czeka piechura, zdążającego czarnym szlakiem z Ziębic, dla odmiany wędrowka wzdłuż szosy, w towarzystwie. Następnie odbicie w lewo, po czym w prawo i po chwili kroczenie już wśród zabudowy mikrouzdrowiska. W wydanym w 1990 r. „Atlasie uzdrowisk polskich” napisano, iż „Obecnie Przerzeczyn-Zdrój jest jednym z najmniejszych uzdrowisk polskich”. Mimo upływu lat, zdanie to nie straciło zbyt na swojej aktualności. Faktycznie ten, kto myśli, że zobaczy tu park zdrojowy na miarę np. szczawieńskiego czy dusznickiego, jest w błędzie. Wszystko jest tu jakby w miniaturze. Nie ma straganów z nijak pasującymi do Sudetów i Przedgórza Sudeckiego ciupagami. Kramów z oscypkami czy budek z lodami też tu nie uświadczymy. W całej wsi jest ledwie kilka sklepów. Dla spragnionych kameralności to chyba wystarczy. Przed odjazdem autobusem warto jeszcze zobaczyć osobliwość Przedgórza Sudeckiego – tutejszy wodospad na... no właśnie. Przez wiele lat sądzono, że płynie tu wspomniana Ślęza. Później próbowano udowodnić, że płynie tu Szklarka – dopływ Ślęzy. Gdyby tak faktycznie było, moglibyśmy powiedzieć, że podziwiamy w Przerzeczynie-Zdroju wodospad Szklarki. Wodospad tak określany zobaczyć można również w Karkonoszach. Ten przerzeczynski jest nieporównywalnie niższy, ale wcale nie mniej ciekawy. A przecież to „tylko” Przedgórze Sudeckie!



Wodospad Szklarki (?), Ślęzy (?) w Przerzeczynie-Zdroju

Przerzeczyn-Zdrój, jak na mikrouzdrowisko przystało, nie ma dworca autobusowego. Pociągi też od dawna już tu nie jeżdżą. Wydostać autobusem się stąd jednak da: można np. w stronę Wrocławia, czy Piławy Górnej.

Bartosz Skowroński

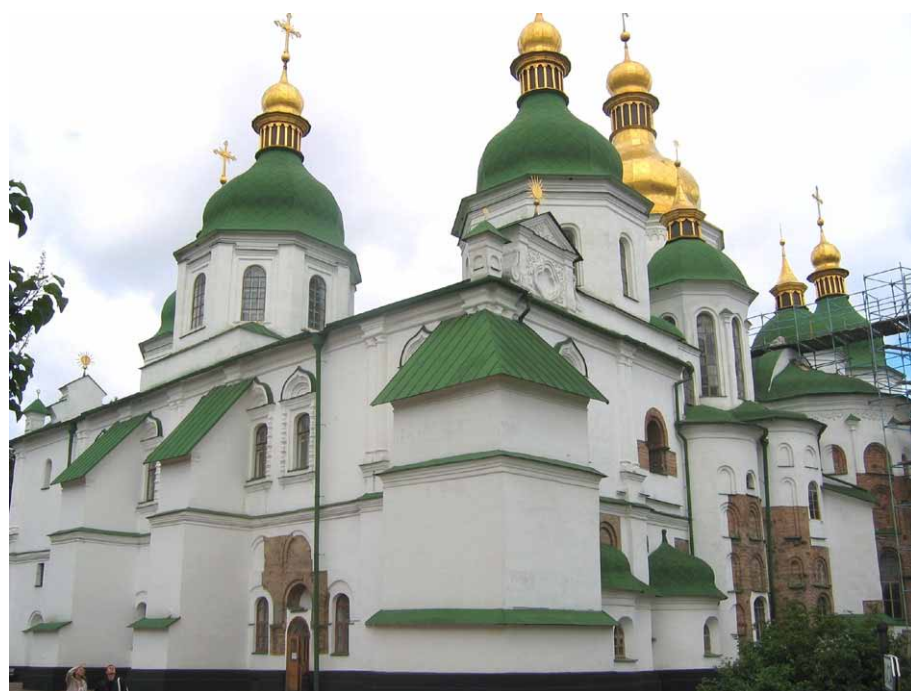
Sobór Sofijski

Jednym z najważniejszych za-
bytków architektury sakral-
nej Kijowa jest Sobór Sofijski (ka-
tedra św. Zofii lub Mądrości Bożej
– jak wolą niektórzy historycy). Zo-
stał zbudowany w 1. poł. XI w. w po-
dzięcie za zwycięstwo nad Pieczynga-
mi. Był główną świątynią i centrum
politycznym Rusi Kijowskiej. Tu
nadawano godność książęcą, intron-
izowano metropolitów, przyjmowa-
no posłów i podpisywano umowy
międzynarodowe. W klasztorze
działała szkoła, biblioteka, w skryp-
torium przepisywano święte księ-
gi. Monaster ufundowany został za-
pewne w 1037 r. Jednak początek
budowy świątyni historycy ostatnio



wiążą z 1011 r., a więc z okresem życia księcia Włodzimierza Wielkiego (956-1015), natomiast zakoń-
czenie budowy z 1018 r., już w czasach jego syna Jarosława (978-1054). Dlatego w 2011 r. obchodzo-
no na Ukrainie tysiąclecie Sofii. Przedtem w miejscu soboru stała podobno nieduża cerkiewka, wy-
stawiona w 955 r. przez księżnę Olgę (babkę Włodzimierza) po powrocie z pielgrzymki do Konstanty-
nopola. W 1018 r. przed bramą świątyni metropolita witał Bolesława Chrobrego i Świętopełka (brata
Jarosława) – kandydata na władcę. Bolesławowi udało się osadzić Świętopełka na tronie książęcym,
ale tylko na rok. Później władzę przejął na trzydzieści pięć lat Jarosław, nazwany później Mądrym.

W 1240 r. mongolskie wojska Batu-chana zniszczyły i obrabowały świątynię. Metropolita Cy-
ryl II odremontował sobór. Ciągle była to główna świątynia prawosławia, poza okresem 1596-1633,



gdy należała do unitów (greko-
katolików). Przejął ją od nich
metropolita Piotr Mohyla, któ-
ry umieścił przy niej zakon mę-
ski (około 1630). Na przełomie
XVII-XVIII w. za władzy het-
mana Iwana Mazepy sobór zre-
konstruowano w stylu ukraiń-
skiego baroku i wzniesiono wie-
żę, na której do dziś znajduje się
dzwon (1705) o imieniu Mazepa.
W okresie radzieckim do 1929 r.
Sobór Sofijski służył jako dzia-
łająca cerkiew, a od 1934 r. cały
monaster (5 ha) stał się muzeum-
rezerwatem. Tę funkcję pełni do
dzisiaj jako Narodowy Rezerwat
Sofija Kijowska, wraz ze Złotą

Bramą (XI w.), cerkwią św. Cyryla (XII w.) i cerkwią św. Andrzeja (XVIII w.). Od dziesięciu lat w najważniejsze święta w soborze odbywają się nabożeństwa religijne. Dziś w skład zabytkowego zespołu architektonicznego monasteru wchodzi, obok Soboru Sofijskiego, takie budowle z XVII-XVIII w., jak dzwonnica (wysokości 76 m), południowa wieża bramna, refektarz, konsystorz, dom mnichów z celami, dom metropolity, korpus bracki, bursa i brama Zaborowskiego (metropolita Rafał Zaborowski zakończył rozbudowę klasztoru).

Budowniczości z Konstantynopola na zlecenie księcia kijowskiego wzniesli pięciosałkową świątynię, otoczoną dwiema galeriami zewnętrznymi, długą na 55 m i szeroką na 42 m, z trzynastoma kopułami. Najwyższa centralna kopuła spoczywała na cylindrycznej podstawie z dwunastoma oknami; jej wysokość to 29 m, a średnica 7,7 m. Na balkony trzech chórów prowadziły kręte schody w dwóch zachodnich wieżach. Ściany zbudowano z naprzemianległych warstw kamieni i *pliny* (duże cienkie cegły), uzupełnionych zaprawą z wapna i *cemianki* (mączka z wypalanej gliny). Świątynia w czasach budowy nie miała analogów, bowiem największe kościoły Konstantynopola zawierały wtedy co najwyżej trzy nawy. W ramach restauracji świątynia w XVIII w. otrzymała dodatkowe małe kopuły (jest ich dziś łącznie dziewiętnaście), nadbudowano zewnętrzne galerie, otynkowano i pobielono ściany.

We wnętrzu soboru zachowały się oryginalne XI-wieczne mozaiki i freski. Najważniejsza mozaika nad ołtarzem przedstawia sześciometrową Matkę Boską z uniesionymi rękoma, zwaną *Orantą*. W zenicie centralnej kopuły znajduje się mozaikowa podobizna Chrystusa Pantokratora. Częściowo zachowały się mozaiki niektórych apostołów i ewangelistów oraz medaliony ze świętymi. (Malarz polskiego pochodzenia Michał Wrubel w XIX w. zastąpił utracone mozaiki olejnymi freskami). Łącznie przetrwało 260 m² mozaik. Pozostała część wnętrza, ściany i filary (ponad 3 tys. m²), wypełniona jest freskami, które przedstawiają sceny z Ewangelii, oblicza świętych, dostojników cerkiewnych i rodzinę książęcą (razem ponad 200 osób). Niezwykłe są malowidła w wieżach schodowych, obrazujące wydarzenia z 987 r.: dynastyczny ślub księcia Włodzimierza z bizantyjską księżniczką Anną, który legł u podstaw chrztu Rusi Kijowskiej (988). Zachowało się ponad 300 napisów *sgraffiti*, wykropanych na freskach. Ich odczytanie pozwoliło lepiej poznać dzieje świątyni. Barokowy ikonostas powstał w XVIII w.

Sobór stanowił nekropolię, w której pochowano pięciu książąt (z XI-XII w.), kilkunastu metropolitów i cerkiewnych hierarchów (XIII-XIX w.). Sarkofag Jarosława Mądrego (otwierany ostatnio w 2009 r.) jest pusty, bez szczątków księcia i jego żony. Sześciotonowy sarkofag jest reliktem z VI-VII w., wykutym z bizantyjskiego marmuru, który trafił na ziemie Rusi jako zdobyczne trofeum wojenne.

W 1990 r. Sobór Sofijski i Peczerską Ławrę (o której pisaliśmy w NA SZLAKU nr e-90, 4/2014) UNESCO wpisało na listę światowego dziedzictwa w architekturze. Podobizna soboru trafiła na ukraiński banknot 2 hrywny. Muzeum Sofija Kijowska stanowi, obok Peczerskiej Ławry, najchętniej odwiedzany w Kijowie zabytek architektury sakralnej. Wraz z przewodnikiem zwiedza się zwykle wnętrza soboru, a samodzielnie – ekspozycje w refektarzu, konsystorzu i bursie. Muzeum czynne jest codziennie, oprócz czwartków.



Bratysława – stolica Słowacji, która czaruje

Atrakcyjnie położona nad Dunajem co roku przyciąga liczne grupy zagranicznych turystów, którzy coraz chętniej wybierają to malownicze miasto jako cel swojej podróży. Historia Bratysławy jest długa i bardzo bogata. Ze swoją liczącą ponad 2000 lat tradycją miejską, należy ona do najstarszych miast Europy. Od 1536 r., kiedy Bratysława (Preszburg) została stolicą Królestwa Węgierskiego, nastąpił jej rozwój i bogacenie się mieszkańców. W Katedrze Świętego Marcina do 1830 r. odbyło się 19 ceremonii koronacyjnych królów węgierskich i ich małżonek, o których przypomina korona św. Stefana, znajdująca się na wierzchołku wieży wznoszącej się na 85 m ponad miastem. Od dziewięciu lat inscenizowana jest koronacja królów węgierskich, stanowiąc wspaniałą atrakcję dla licznych turystów. **Najbliższa koronacja odbędzie się 24-26.06.2016 r., a koronowana będzie Królowa Maria Teresa (www.korunovacneslavnosti.sk).**

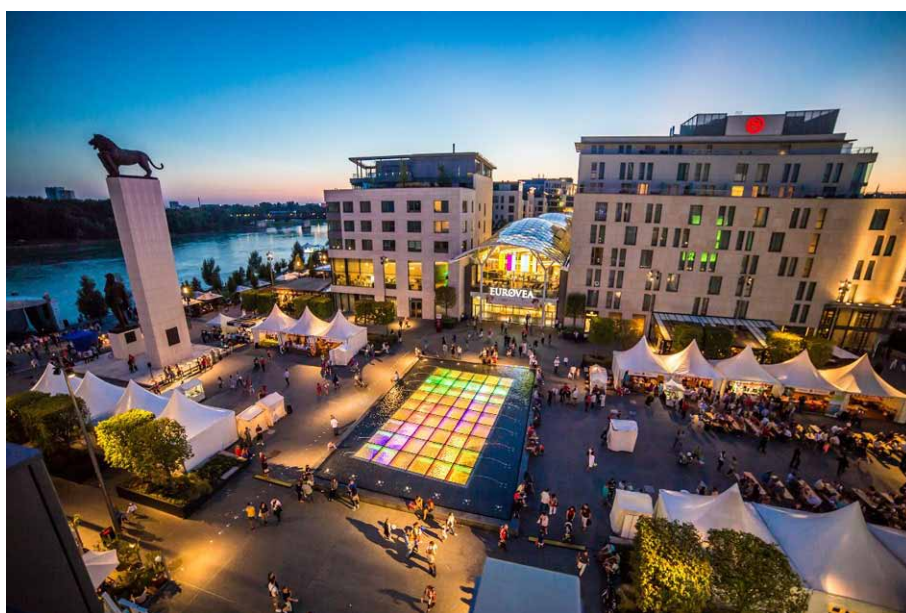
Okres największego rozkwitu miasta wiąże się właśnie z panowaniem na tronie węgierskim Marii Teresy (1740-1780), która była zakochana w Bratysławie. Podjęła ona decyzję o przebudowie zamku, który w chwili obecnej jest bez wątpienia największą dominantą i atrakcją stolicy. Majestatyczna warownia znajduje się na wystającej skale położonej 85 m nad poziomem Dunaju. Jej sylwetka z czterema wieżami często kojarzy się z przewróconym stołem. Dziś w zamku znajdują się ekspozycje Słowackiego Muzeum Narodowego i pomieszczenia reprezentacyjne Rady Narodowej Republiki Słowackiej.

Po zejściu z zamkowego wzgórza znajdziemy się w samym historycznym centrum miasta, pełnym krętych i wąskich uliczek z mnóstwem galerii i muzeów. Bramą wejściową do Starego Miasta jest Brama Michalska z nieodłącznym symbolem, jaki stanowi wieża z dachem w kształcie cebuli i tarasem widokowym. Warto wspiąć się na jej szczyt, po drodze zwiedzając Muzeum Broni, aby następnie z góry nacieszyć oczy wspaniałą panoramą Starego Miasta. Ul. Michalska to wielki deptak, który latem rozbrzmiewa wielojęzycznym gwarem. Modne piwiarnie i restauracje wypełnione są często do ostatniego miejsca, a turyści przy muzyce i śpiewach bawią się do późnego wieczora.

Z trzech placów położonych w historycznym centrum najbardziej urokliwy jest Rynek Główny. W tym miejscu odbywają się największe imprezy kulturalne. To tutaj w niedziele przyjeżdżają na spacer i dobrą kawę mieszkańcy stolicy. Każdy budynek jest tu interesujący, ale szczególną uwagę przyciąga Stary Ratusz, którego obecny wygląd to wynik złożonego procesu architektonicznego, w którym odbijają się różne style i ślady przeróbek budowlanych. Historia tej wspaniałej budowli sięga początków średniowiecza.

Dodatkową atrakcją jest fontanna Maksymiliana, gdzie, podobnie jak w Krakowie pod pomnikiem Mickiewicza, umawiają się mieszkańcy. Warto również zwrócić uwagę na mosiężne postacie znajdujące się na Rynku Głównym i w bocznych uliczkach, z którymi często fotografują się turyści. Wspólne zdjęcie z Napoleonem, Podglądaczem, Schönenem Naci, pracującą dziewczyną czy Biznesmenem jest wspaniałą pamiątką z pobytu w Bratysławie.

Prawdziwą dumą i ozdobą miasta są też Pałac Prymasowski i Pałac Mirbacha – uważane za najładniejsze, Pałac Grassalkowiczów, który jest siedzibą prezydenta Słowacji, Pałac Palfy'ego, gdzie w wieku sześciu lat koncertował Wolfgang Amadeusz Mozart. Godną uwagi, położoną na najładniejszym i najruchliwszym Pl. Hviezdoslava (największego poety słowackiego),



Bratysława – Europea na bulwarze nad Dunajem

jest również reprezentacyjna budowla Słowackiego Teatru Narodowego, przed którą stoi słynna Ganymedowa fontanna.

Atrakcją turystyczną w mieście są bulwary, położone między historycznym centrum i lewym brzegiem Dunaju, stanowiące miejsce spacerów, spotkań w kawiarniach, przycumowanych do brzegu statków i hoteli wodnych. O atrakcyjnym położeniu Bratysławy możemy się przekonać wjeżdżając windą do restauracji UFO, usytuowanej na szczycie pylonu Mostu Słowackiego Powstania Narodowego. Z tego miejsca roztacza się wspaniały widok na Bratysławę i okoliczne Małe Karpaty. Z UFO mamy również fascynujący widok na nowootwarty piąty bratysławski most Apollo i nowoczesne centrum handlowo-rozrywkowe EUROVEA czy wielofunkcyjny kompleks RIVER PARK.

Dla miłośników przyrody polecamy zwiedzić dzielnicę Kolibę, do której możemy dotrzeć również dwuosobową kolejką krzeselkową prowadzącą z parku leśnego Żelazna Studzienka na Kamzik. Na wzgórzu, w wieży telewizyjnej, znajduje się obrotowa restauracja z fascynującym widokiem na Małe Karpaty. Najnowszą atrakcją turystyczną na Dunaju w Bratysławie (na „Tyršovom nábřeží” w pobliżu Teatru Arena) jest

otwarty w połowie grudnia 2014 r. Dunajski pivovar – pierwszy minibrowar na rzece w Europie. Na specjalnie przystosowanym statku, kołyszącym się na falach Dunaju, znajduje się restauracja dla 500 osób z tradycyjną słowacką kuchnią oraz hotel dla około 40 osób (19 pokoiów dwuosobowych). Z minibrowaru roztacza się fantastyczny widok na główne dominanty Bratysławy: Zamek, UFO, Parlament, Starówkę.



Bratysława – Dunajský Pivovar

W tym nietypowym miejscu warzone są niepasteryzowane piwa: *Patron 11,5°* (jasne) oraz *Patron 13°* (ciemne), które były dawniej produkowane w Browarze Patron w Bratysławie. Większość atrakcji turystycznych w Bratysławie można zwiedzić specjalnym pociągiem ekologicznym Prešporáčkem, który kursuje po Starówce i na Zamek Bratysławski.

Do oddalonego około 60 km Wiednia możemy dojechać szybkim pociągiem, autobusem, a w sezonie letnim wodolotem lub katamaranem *Twin City Liner* (podróż trwa około 70-90 min. Polecamy

również wycieczkę statkiem z Bratysławy na Zamek Devin położony w miejscu, w którym rzeka Morawa spotyka się z Dunajem. Zamek stoi na potężnym skalistym wzgórzu, dominując nad całą okolicą. W środku znajdują się ekspozycje muzealne dostępne dla turystów.

Na słowackie wino zapraszamy do pobliskich Małych Karpat, które stanowią centrum winiarstwa na Słowacji. Winnice zajmują tutaj ponad 7300 ha,



Zamek Devin

co stanowi 1/3 powierzchni winnic w kraju. Dla miłośników wina, którzy mają ochotę spróbować miejscowych trunków, atrakcją będzie wycieczka Małokarpackim Szlakiem Wina, który prowadzi do otoczonych winnicami zabytkowych miasteczek o średniowiecznym rodowodzie i położonych po wschodniej stronie Małych Karpat. W przesiąkniętych historią piwnicach można delektować się ich starodawnym urokiem i spróbować dobrego winka oraz smakołyków kuchni regionalnej. Najwięcej turystów odwiedza miasteczka Modra, Pezinok i Svätý Júr (Święty Jerzy), gdzie odbywa się najczęściej imprez winiarskich. Szczególnie polecamy dni otwartych winnych piwnic, które organizowane są dwa razy w roku i należą do najpopularniejszych imprez na wspomnianym Szlaku. Osobom, zainteresowanym historią słowackiego winiarstwa i zapoznaniem się najlepszymi winami produkowanymi na Słowacji, polecamy odwiedzić Narodowy Salon Win Republiki Słowackiej, który zlokalizowany jest w Muzeum Winiarstwa w historycznym centrum Bratysławy. Zwiedzanie ekspozycji można połączyć z degustacją słowackich win. Na pieczone gęsi, kaczki i ziemniaczane loksze, nadziewane wątróbką, zapraszamy do miejscowości Słowacki Grob, która słynie z tego rodzaju potraw od ponad stu lat.

Ponadto w Małych Karpatach warto zwiedzić znakomicie zachowany gotycki zamek Červený Kameň, który został zaprojektowany przez Albrechta Dürera, zamek Smolenice oraz pobliską jaskinię Driny z bardzo pięknymi formami krasowymi i wodospadami. Regionalną atrakcją turystyczną jest również manufaktura majoliki w miasteczku Modra.

Wymienione atrakcje, to z pewnością nie wszystko, co czeka w tym regionie na polskich turystów. Małe Karpaty oraz Bratysława stanowią same w sobie doskonały cel podróży, gdzie warto zatrzymać się na dłużej i to nie tylko przy okazji wyprawy do Wiednia czy dalej na południe Europy.

Ján Bošnovič

Dyrektor Narodowego Centrum Turystyki Słowackiej w Polsce

Słowackie to i owo

Nasza Redakcja od wielu lat utrzymuje bardzo dobre kontakty z Narodowym Centrum Turystyki Słowackiej w Polsce. Dyrektor tej placówki w Warszawie – Ján Bošnovič, przesyła nam regularnie szereg wiadomości, które umieszczamy u nas, a także przekazujemy innym zainteresowanym tym krajem. Szczególnie wielu czytelników cieszą te praktyczne, zawierające informacje dotyczące podróży do naszych sąsiadów, bazy noclegowej i wielu wydarzeń o różnym charakterze.

Słowacja w ostatnich latach należy do krajów najchętniej odwiedzanych przez Polaków. Informacja o darmowych przejazdach kolejowych w tym kraju dla naszych rodaków zdaje się być niewiarygodną. Jednak to fakt. Z przejazdów tych mogą korzystać uczniowie do lat 15, studenci studiów dziennych i emeryci powyżej 62.



Ján Bošnovič na MTT Wrocław 2016

roku życia, renciści i sieroty pobierające rentę rodzinną. Dotyczy to nie tylko Słowaków, ale wszystkich obywateli Unii Europejskiej. Jak sobie popodróżować darmo? W Słowacji trzeba dotrzeć do kasy biletowej – najlepiej w którymś z większych miast, by uzyskać odpowiedni dokument potwierdzający zgodę na darmowe podróże. Trzeba okazać się dowodem osobistym, student i uczeń stosowną legitymacją. Pozostali powinni posiadać potwierdzenie przyznania świadczenia. Otrzymane zaświadczenie pozwala na pobranie w kasie darmowego biletu na konkretne połączenie. Dotyczy to każdej zaplanowanej podróży. Więcej szczegółów – klik na poniżej podany link. Czyli funkcjonująca od zeszłego roku oferta jest wspaniałą propozycją odwiedzenia Słowacji.



Słowacy na wrocławskim Rynku

We Wrocławiu corocznie jest możliwość coś ciekawego słowackiego zobaczyć. W tym roku na odbywających się w lutym Międzynarodowych Targach Turystycznych Wrocław 2016, jak co roku, zaprezentował się z pełnym rozmachem Zamek Orawski (Oravski Hrad). Jest to jeden z najchętniej odwiedzanych obiektów tego typu przez turystów, nie tylko słowackich. Nawet nieduże stoisko biura reklamującego się jako „Z Kraju Juraja Jánošíka” nie mogło narzekać na brak zainteresowania. Jakby dopełnieniem słowackich wydarzeń była wspaniała wystawa „Bardejov – światowe dziedzictwo UNESCO”, a w trakcie jej trwania dzień otwarty z bogatym programem prezentującym historię i sztukę oraz atrakcje turystyczne Słowacji. Atrakcją tego wydarzenia był spektakl teatru Ej.Aj. pod tytułem „Zdarzyło się 1 września (albo kiedy indziej)” według książki Pavla Rankova. Wszystko miało miejsce w Muzeum Etnograficznym. Nie pierwsze to wydarzenie słowackie tego typu w tym obiekcie. Prężny Wrocławski Konsulat Honorowy Republiki Słowackiej wielokrotnie był organizatorem tych działań. Na pewno w tym roku czeka nas jeszcze mnóstwo słowackich atrakcji. Jak wieść niesie, 3-4 czerwca br. na wrocławskim Rynku zagospodszą stoiska pełne europejskich aromatów i smaków. W tej edycji wielka impreza „Europa na Widelcu” przebiegać będzie pod hasłem Europejskie Stolice Kultury. Słowacy już się do niej szykują.

Przydatne linki: www.konsulat.slowacji.wroclaw.pl i www.slovakia.travel.

Wojciech Radliński

W labiryncie Wardzii

Człowiek po zejściu z drzewa i rozprzestrzenieniu się z afrykańskiej sawanny w naturalny sposób szukał ochrony przed zwierzętami, opadami i chłodem. Znakomitego schronienia – zwłaszcza w skalistych terenach, w górach i na wzgórzach, używały jaskinie. Stawały się one na długo i niekiedy dla wielu osób „domem”. Niekiedy talent i umiejętności zamieszkujących w nich osób prowadziły do ozdabiania wnętrz rysunkami i malowidłami, z których zachowało się oczywiście niewiele. Najśłynniejszym przykładem jest jaskinia w Lascaux we francuskiej Akwitanii, gdzie powstały około 15 tys. lat p.n.e. – trudno nie nazwać je tak – dzieła godne najwyższego podziwu.

Skalne sadyby to twory ludzkich rąk także ze znacznie późniejszych okresów, jak choćby najbardziej znane z tureckiej Kapadocji czy amerykańskie puebla. O wiele mniej znana jest Wardzia,

choć turystów – także z Polski, przybywa tam coraz więcej, bo też Gruzja jest im też coraz przyjaźniejsza. To miasto-klasztorek znajduje się w południowej Gruzji, blisko granicy z Turcją w rejonie Samcche-Dżawachetia, blisko miast Aspindza oraz Achalkalaki i Achalciche, skąd można dojechać za niewielkie pieniądze marszrutkami, tj. popularnymi w dawnych krajach ZSRR mikrobusami.

Wysoko w zachodnim zboczu góry Eruszeli, stromej ścianie jaru (kanion nie jest poprawnym określeniem geograficznym, to takie folderowe i niefachowe)

rzeki Mtkwari – po gruzińsku, lub Kury – po azersku, jako że płynie ona dalej przez Azerbejdżan. Tu na poziomie 1220-1350 m wykuto w dość miękkim wulkanicznym tufie w latach 1184-1213 ponad 3000 pomieszczeń na trzynastu kondygnacjach! Zapewne wykorzystano nieco wcześniejsze prace. Były one niewidoczne z zewnątrz dzięki swoistym murkom osłonowym z pozostawionych fragmentów skał, a posiadały system nawodnień, korytarzy, zbiorników na rozmaite płyny i żywność połączony wykutymi schodami o różnym przebiegu. Dostać się tu można było jedynie przez zamaskowane tunele upadowe, schodzące na dno wąskiej doliny. Funkcjonował w Wardzii duży klasztor, gromadzący 2 tys. mnichów, ale w wypadku zagrożenia – początkowo ze strony mongolskich hord, przebywało w tym miejscu nawet do 60 tys. osób!

Powstanie tak dużego i dobrze przemyślanego kompleksu stało się ostatecznie zasługą wybitnej gruzińskiej królowej od 1184 r. Tamary I (1160-1213) z rodu Bagratydów, najstarszej córki Jerzego III, który dla uniknięcia zamieszek koronował ją jeszcze za swojego życia, i Burudukan. Dla swoich zasług – rozwoju państwa i obrony przed najazdami, zyskała przydomek Wielkiej i kanonizowana przez Cerkiew gruzińską. Nie wiadomo, gdzie jest pochowana, być może w tym klasztorze, gdzie pod koniec swoich lat pędziła skromne życie.

Niestety, wielkie trzęsienie ziemi w 1283 r. zniszczyło dwie trzecie kompleksu, dewastując system nawodnień i odkrywając pomieszczenia, które odtąd stały się dobrze widoczne z drogi na drugim brzegu Mtkwari jak plaster miodu. Nic dziwnego, że w 1551 r. nie obroniło się ono przed perskim szachem Tahmaspem I, który je doszczętnie złupił. Ostateczny upadek klasztoru w 1587 r. przypięczętowało opanowanie okolicznych terenów przez mułmańskich Turków. Od





niedawna trwają badania i prace zabezpieczające, zaś całością opiekuje się po rozpadzie ZSRR kilkunastu mnichów.

W tym unikatowym skalno-kulturowym rezerwacie udostępnionych zostało około 300 pomieszczeń na różnych poziomach, z których najważniejsze to Sala Tronowa Tamarzy I i część klasztorna z kościołem. W tym ostatnim zachowały się w całkiem dobrym stanie średniowieczne freski. Część z nich to pełnopostaciowe przedstawienia Jerzego III i Tamarzy I. Niektóre tuneliki ze schodami są wąskie i strome, ale wraz z wykutymi pomostami dostarczającymi piękne widoki zapewniają krążenie po tym

kompleksie z emocjami przypominającymi błądzenie po labiryncie. Oczywiście można zwiedzać indywidualnie, wygodniejszych do podnóża dowozi marszrutka, startująca od bramy wejściowej, poniżej której znajduje się lokal gastronomiczny i podobne urządzenia dla turystów.

Krzysztof R. Mazurski

Węgrzy tworzą w Polsce nową turystyczną markę

Uruchomiono stronę www.nocleg.pl – Nocleg.pl jako serwis rezerwacyjny należący do węgierskiego potentata turystycznego Szallas.hu. Od połowy 2015 r. portal działał w Polsce pod nazwą Noclegguru.pl. W lutym br. jego właściciel zdecydował się na rebranding i zakup domeny Nocleg.pl. *Mamy nadzieję, że nazwa Nocleg.pl będzie łatwiejsza do zapamiętania dla naszych klientów i przyciągnie większą liczbę partnerów* – ocenia Peter Sziebig, expansion manager w firmie Szallas.hu. – *Na podobny rebranding zdecydowaliśmy się na Węgrzech w 2009 r., zmieniając nazwę serwisu Szallasguru.hu na Szallas.hu (słowo Szallas w jęz. węgierskim oznacza nocleg). Wprowadzenie nowej marki na rynku węgierskim przelożyło się na wzrost konwersji i liczby rezerwacji* – dodaje. Zmiana nazwy domeny to jeden z elementów strategii marketingowej węgierskiej spółki, która w 2016 r stawia przed sobą ambitne cele. *Planujemy podwojenie naszej bazy noclegowej w Polsce do rozpoczęcia sezonu letniego. Obecnie koncentrujemy się przede wszystkim na osobach podróżujących z rodzinami, które latem zdecydują się pozostać w kraju i tutaj szukać interesującej oferty wypoczynku* – mówi Sziebig.

Na stronie Nocleg.pl użytkownik może znaleźć i zarezerwować nocleg w jednym ze 175 krajów na świecie. W 2016 r. firma Szallas.hu chce znacznie zwiększyć udział rezerwacji krajowych. *Obecnie 80% polskich użytkowników naszego serwisu dokonuje rezerwacji obiektów na Węgrzech. Chcielibyśmy te proporcje zmienić na korzyść hoteli, apartamentów i pensjonatów w Polsce* – podkreśla Peter Sziebig. Firma Szallas.hu jest najszybciej rozwijającą się platformą rezerwacyjną we wschodniej Europie. W 2014 i 2015 r. operator serwisu Nocleg.pl znalazł się wśród najszybciej rozwijających się firm technologicznie innowacyjnych w Europie Środkowej, zdobywając w rankingu Deloitte odpowiednio pierwsze i trzecie miejsce. Węgierska spółka jest też finalistą prestiżowego konkursu European Business Awards.

Centrum Prasowe PAP

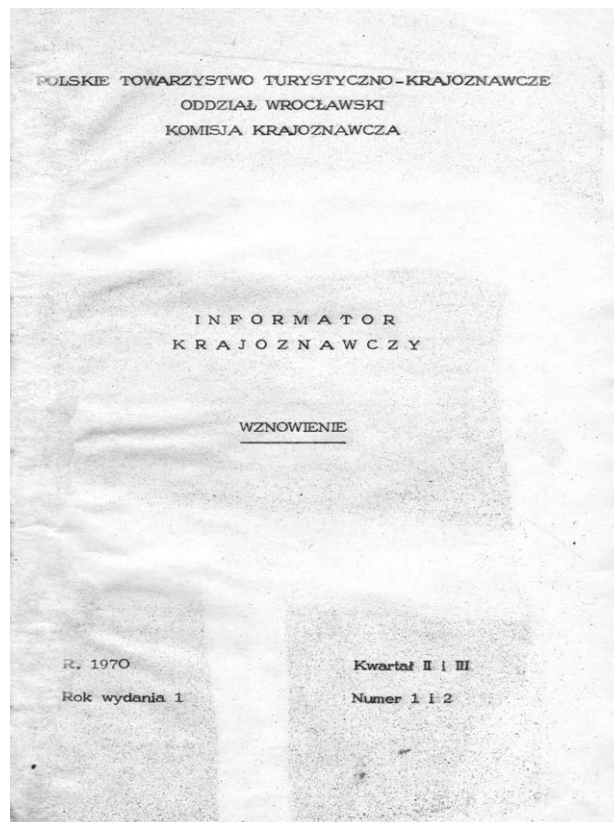
110 lat Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego

Co wymyślili krajoznawcy we Wrocławiu w 1970 r.?

2016 – rok jubileuszu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które wraz z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim zjednoczyło się w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Warto przybliżyć jeden z wycinków pracy krajoznawców z Wrocławia.

Czytelnicy! Oddajemy do Waszych rąk „Informator Krajoznawczy”, który jako kwartalnik stanie się naszą krajoznawczą lekturą. Znajdziecie w nim materiały o Dolnym Śląsku z różnych dziedzin, między innymi z historii i współczesności, z przyrody i architektury. Zamknięte cykle będą stanowiły materiały, o których przeciętny krajoznawca jest mniej poinformowany, dotyczą one zabytków architektonicznych, sylwetek śląskich Piastów oraz sylwetek ludzi, których nazwiska wypowiadamy stale przy zwiedzaniu naszego Regionu. Redakcja.

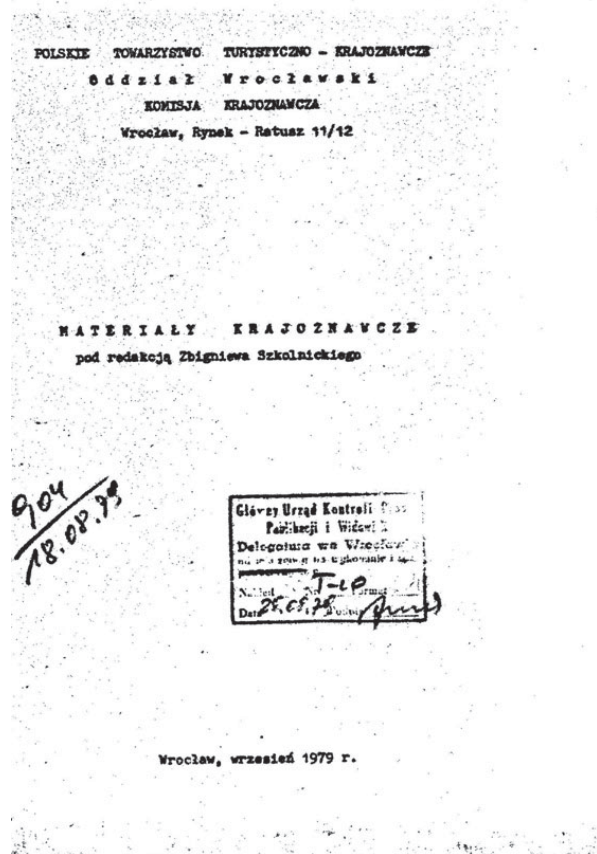
To słowo wstępne z pierwszego numeru „Informatora Krajoznawczego” oddaje ducha tego, czego pragnęli w tamtym czasie wrocławscy krajoznawcy. W mało ciekawych początkach lat siedemdziesiątych ub. wieku Komisja Krajoznawcza Oddziału Wrocławskiego PTTK zdecydowała się na wydawanie „Informatora Krajoznawczego”. Można by sądzić – jakie to proste! Oj, w tamtych czasach nie bardzo. Główne dwa powody: słabe możliwości wydawnicze, zmonopolizowane przez Państwo i... wszechmogąca, wszechwładna cenzura. To ona m.in. decydowała, o czym można pisać i czy można to wydać drukiem. Zespół opracowujący Informator musiał nieźle głowić się, by umieścić w debiutanckim numerze coś nowego, ciekawego i oparte go na historii i niezafałszowanych faktach. Ta urzędowa historia, której uczono w szkołach, bardzo się różniła od tej, jaką była w rzeczywistości i o jakiej można się dowiedzieć w obecnym czasie z wielu wydawnictw i internetu. W odniesieniu do Śląska miała w sobie wiele luk do uzupełnienia i do zainteresowania nie tylko krajoznawców oraz turystów. W numerze pierwszym jest dziewięć artykułów, napisanych przez znanych krajoznawców z Wrocławia: Stanisława Jastrzębskiego, Witolda Prelicza i Mieczysława Gałygę. Przeszły one szczęśliwie przez cenzurę. Można sobie wyobrazić, ile



The image shows the table of contents of the journal. The title 'SPIS TREŚCI' is centered at the top. Below it is a list of articles with their corresponding page numbers. The right side of the page is labeled 'Strona'.

	Strona
1. Rezerwy przyrody na Dolnym Śląsku	3
2. O Śląskich Kościołach Pokoju	5
3. Piastowie Śląscy - cz. I	11
4. Mało znane miejscowości	15
5. Zakład Narodowy im. Ossolińskich	19
6. Rezerwy torfowe Dolnego Śląska	31
7. M.L.L. Willmann	35
8. Piastowie Śląscy - cz. II	46
9. Który Oddział będzie następny ?	49

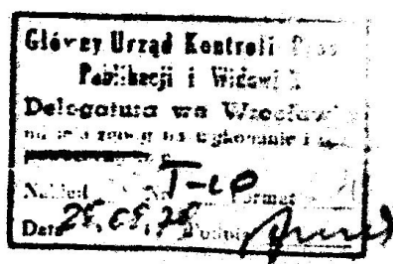
trudu musiał zadać sobie autor artykułu o Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, by jak najwięcej i najrzetelniej móc o nim napisać. Jak zrećnie musiał zmagać się z częścią, która dotyczyła lwowskiej historii Zakładu i tuż-powojennej wrocławskiej. Przecież dotyczyła ona tematów politycznych. Jednak wybrnął z tego po mistrzowsku. Zacytuję tu jeden fragment: *Wrocławski etap działalności Ossolineum mierzony ilością lat jest niewielką nadbudową działalności lwowskiej. Ten sam etap mierzony intensywnością działania nie ustępuje znaczeniu okresowi lwowskiemu, a pod pewnymi względami przewyższa go. Ossolineum stało się ramieniem kultury narodowej obejmującej po 600 latach w posiadanie ziemię Nadodrzańską. Kto wie, czy ten zacytowany fragment nie uratował tego jakże rzetelnego artykułu, a może i całości wydawnictwa. Pierwszy numer, wydany bardzo ubogą techniką drukarską, w nakładzie kilkudziesięciu sztuk, rozszedł się jak przysłowiowe ciepłe bułeczki. Zdecydowano się na jego wznowienie. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk Delegatura we Wrocławiu, przybijając swoją pieczęć na stosownym piśmie, na to wszystko zezwolił! To naprawdę był sukces Wrocławskich Krajoznawców. Przypomnijmy nazwiska pierwszych osób, stanowiących Zespół Redakcyjny „In-*



formatora Krajoznawczego”, opracowywanego w Oddziale Wrocławskim PTTK: Stanisław Jastrzębski, Jerzy Kowalow (sekretarz), Witold Prelicz (przewodniczący zespołu), Zbigniew Szkolnicki. O dalszych losach Informatora zapewne kiedyś jeszcze ktoś napisze.

Wojciech Radliński

Pieczęć cenzury, tak jak kiedyś „Informator”, dopuszcza teraz ten artykuł do wydania.



Anegdotyczne perły z lamusa

Natłok imprez, jakie każdego roku serwowane są nam i konsumowane przez przeciętnego zjadacza tychże imprez pod szyldem PTTK sprawia, że kończąc jedną, wybiegamy myślami ku następnej wyprawie. W rezultacie przywiezione programy, gadżety i wszelkie inne materialne dobra trafiają na półki domowego archiwum, by najczęściej nigdy więcej do nich nie sięgać. A szkoda. Niektóre, jak dobre wino, smaku i wartości nabierają dopiero po dłuższym leżakowaniu, czego doświadczyłem dobywając ze swoich przepastnych zbiorów program XII Forum, organizowanego przez Wielkopolski Klub Publicystów Krajoznawczych w Poznaniu.

Rok 2005, odległe to czasy, wydarzenia sprzed dziesięciu lat. Wydarzenia retro, wszak lejtmotytem XII Forum była tematyka związana z retrokolejnictwem. Aczkolwiek wśród wielu zabawnych, wręcz anegdotycznych scenek z tamtej imprezy, jaką do dzisiaj zachowałem w pamięci, dominowała tematyka kolejnictwa, poczesną rolę odegrały również świnki. Podkreślam przy tym wybiórczość podejmowanych kwestii i, być może, zbyt lekką ich formę. W klimat ten, już we wstępie do programu Forum, znakomicie wpisują się organizatorzy, określając się jako **Samodzielne, częściowo niezależne szefostwo XII Forum Publicystów Krajoznawczych – „Bana Wolsztyn 2005”**.

Początek, jak zwykle, w Poznaniu. Otwarcie i Uroczysta Sesja w Bibliotece Raczyńskich z okazji jubileuszu 25-lecia Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych. Na marginesie dodam,

że poprzez studia w grodzie Przemysława i moje związki z Pyrlandią, nie bez dumy mienię się być niemal od początku istnienia członkiem-korespondentem klubu. A skoro sesja uroczysta, to, jak czytamy w programie, „*Stroje przyzwoite: Panie broszki, Panowie krawaty, fulary*”. W dalszej części, w ciekawej sesji programowej, Paweł Anders, znawca i fascynat kolei, zapoznał uczestników z historią kolejnictwa w Polsce i Wielkopolsce. Był to referat. Natomiast obiegowa znajomość kolejnictwa sprowadza się



do dwóch przeciwstawnych opinii. Punktualność kursowania pociągów i wysoka pozycja społeczna kolejarskiej profesji odnosząca się do przedwojnia, i epitet *Państwo w państwie*, jaki przyłgnął do kolei powojennej. I nie bez racji. Pracując w dyrekcji Uzdrawiska Ciechocinek, pewnego razu byłem biernym uczestnikiem przyjmowania do pracy lekarza, który oznajmił, iż posiada specjalizację lekarza kolejowego. Świadom reakcji kandydata na tak postawione pytanie, zapytałem go wówczas, czy jest to lekarska specjalizacja kolejowa tylko szeroko, czy również wąskotorowa?

Z Poznania, obu szerokościami torów wielkopolskiej kolei żelaznej, udaliśmy się do Starego Bojanowa, by następnie przez Śmigiel i Wielichowo stanąć w Łubnicy. A tu, jak donosi Samodzielne, Częściowo Niezależne Szefostwo Forum, *Spotkanie pod parasolami. Podwieczorek wydany przez pana Romana Maracha z Rolniczego Kombinatu Spółdzielczego, w tym konsumpcja wysokospecyficznego produktu spożywczego*. Owym tajemniczym produktem okazały się być ślimaki serwowane w kuchni polowej wprost z patelni. Iście królewski rarytas. Dalej był Wolsztyn. Historycznie, miasto noblisty Roberta Kocha i rzeźbiarza Marcina Rożka. Współcześnie zaś, dumą Wolsztyna jest zabytkowa parowozownia, a w niej „Piękna Helena”, ciągle czynny, polski parowóz Pm36-2 z 1937 r., rozwijający prędkość do 130 km/godz. Z Wolsztyna, nieśpieszny retropociąg zawiózł nas na grzyby, przeto w jego wnętrzu niepodobna było szukać tabliczki z napisem „Zabrania się zbierania grzybów podczas jazdy pociągu”. Za retropodróż zabytkowym składem pociągu na trasie Wolsztyn – Konotop,

szczodrobliwemu Szefostwu XII Forum przysługują trzy białe pyry.

Krajoznawstwo, penetracja najciekawszych zakątków woj. wielkopolskiego i tematyczne referaty zawsze stanowiły mocną stronę założeń programowych wszystkich siedemnastu dotychczasowych spotkań klubowych. Jednakże niemniej smacznym kąskiem każdorazowo okazywała się być garkuchnia, o czym oprócz ślimaków z Łubnicy przekonała nas wizyta w gminie



PKP CARGO Spółka Akcyjna
Zakład Taboru w Poznaniu

BILET NA PRZEJAZD POCIĄGIEM RETRO
Bilet uprawnia do zwiedzania Parowozowni Wolsztyn i przejazdu pociągiem „Retro” na trasie:
Wolsztyn - Konotop - Wolsztyn

Data: 3 10 17 24 września 2005 r.
Godzina odjazdu pociągu: 07:35
cena 7,50 zł

Bilet normalny seria E nr 64

Siedlec. Słynie ona z hodowli świń, gdzie, jak wieść gminna niesie, na jednego mieszkańca przypada czternaście wieprzy. Nic więc dziwnego, że corocznie obchodzone jest tam święto świni, a w nim m.in. w konwencji zabawowej, konkurs na „Pasibrzucha”, polegający na jedzeniu na czas kiełbasy z metra. Skoro świnia jest symbolem gospodarności gminy, dywagowano ponoć, czy nie dokonać zamiany czapli w herbie Siedlec na świnie. Pozostała jednak czapla, ale świnie uhonorowano pomnikiem w centrum Siedlca. Tamże lukullusową ucztę zgotował ówczesny wójt Gminy Siedlec Adam Cukier. Bogactwo dań w rogu obfitości siedleckich specjalów i prawdziwa rozkosz dla kubków smakowych biesiadników zakończyła się wspólnym zdjęciem pod pomnikiem świni. I w tym miejscu pan wójt wykazał się niezwykłym poczuciem humoru i dystansem do samego siebie. Wskazując na świnie rzekł: *Oto jest mój pomnik, jaki postavili mi wdzięczni mieszkańcy gminy.*



Jakby przeciwwagą dla wielkopolskiego, zabytkowego taboru kolejowego była podróż powrotna. Z Rakoniewic do Poznaniu wiózł nas wprowadzony do eksploatacji szynobus. W tamtym czasie była to nowość i początki nowoczesnej, wygodnej formy komunikacji na mniej uczęszczanych trasach.

A na koniec blubry Starego Marycha, czyli skrócona wersja programu XII Forum, poznańską gwarą okraszona. Na otwarciu całkiem rychtyk referaty z przerwą na kawę i szneca z glancem w tytce podana. Drożdżówka, inaczej szneca, popularny rodzaj ciastka, znana jest pod tą nazwą również w innych częściach Polski. U podstaw źródłosłowu szneca leży spiralny zwój jego kształtu. Jest to germanizm wywodzący się od rzeczownika *Schnecke*, czyli ślimak, a jego spolszczona, w fonetycznej wymowie i pisowni nazwa – szneca. Potem zaś, rug cug przejażdżka bimbą po Poznaniu, a następnie w te i wewte po Wielkopolsce obwiozła nas bana muzealna. W Siedlcu natomiast żaden gzik, pyry czy też inne klemy, na stoły wniesiono kaszoki, ajsbany, leberki, porzundne chapsy chabasów i inszego ścierwa świńskiego wuchte. I tak, z tej krajoznawczo-kulinarnej imprezy każdy uczestnik, nabąbany po dziurki w nosie, kontent wielce wracał do domu.

Bogumił R. Korzeniewski

Szesnasty raz na śladówkach

O kolejnym Spotkaniu Śladowym w Andrzejówce

Zacząło się wszystko w 2001 r., kiedy do schroniska PTTK na Turbaczu przybyło około trzydziestu turystów-narciarzy w odpowiedzi na informację, że Redakcja NS zaprasza na wspólną narciarską wędrowkę w Gorcach. Nikt wtedy nie wiedział, co z tego wyniknie i czy cokolwiek dobrego z tego będzie. Minęło szesnaście lat i Spotkania Śladowe mają się całkiem dobrze. W tym roku znowu przywiało nas w Sudety. Do schroniska PTTK Andrzejówka przybyło dziewiętnaście osób z różnych zakątków Kraju. Mimo że kamera w Andrzejówce pokazywała co raz to śnieg, to trawę, prawie nikt z zainteresowanych Spotkaniem nie zrezygnował. Kilka osób wyeliminowały kontuzje i stan zdrowia. Spotkanie trwało oficjalnie od czwartku 3 do niedzieli 6 marca. Szesnaście osób było od początku, a dwie nawet wcześniej, trzy dołączyły w piątek i w sobotę. Większość to stali bywalcy, w tym uczestniczący od pierwszego, kilka osób było pierwszy raz. Przyjechali turyści z Kościerzyny, Warszawy, Krakowa,

Bielska-Białej, Wrocławia, Torunia, Zawiercia, Katowic i Mysłowic. Główną bazą była wspomniana „Andrzejówka”. To schronisko, podobnie jak „Zygmuntówka”, od dawna „chodziło mi pogłowie”, nie miałem tylko pomysłu na jego wykorzystanie. Zimowe imprezy okazały się strzałem w dziesiątkę. Kilka osób nocowało w Rybnicy Leśnej, wszyscy spotykaliśmy się po południu w „Andrzejówce” na obiadokolacjach i posiadach. Do schroniska docierano na kilka sposobów: samochodami, miejskim autobusem z Wałbrzycha (linia 12) lub pieszo przez góry. Przywitał nas świeży śnieg, który padał tam od niedzieli. Wystarczyło go i dla narciarzy na biegówkach i śladówkach, i dla zjazdowców korzystających z dobrze przygotowanego stoku obok schroniska. Wyciąg kręcił się cały dzień od rana o późnego wieczora.

Nasza „straż przednia”, czyli Olga i Paweł, przybyli dzień wcześniej i rozpoznali teren oraz warunki śniegowe odbywając wycieczkę na Szpiczak (881 m). Kolejni uczestnicy pojawiali się od czwartkowego południa do wczesnego wieczora i na pierwszym wspólnym posiłku byliśmy już niemal w komplecie. Większość zaraz po przybyciu zakładała narty i ruszała na pierwsze wypady w góry. Na pierwszy ogień szedł pobliski szczyt Waligóra (936 m), możliwy do wejścia na nartach żółtym szlakiem od strony południowo-zachodniej. Wejście od północy szlakiem na wprost po stromym zboczu nie należy zimą do łatwych i nadaje się do wejścia „na butach”. Waligóra, widziany od schroniska, wygląda jak „prawdziwa góra”, regularny spadzisty stożek. W kierunku południowym odchodzi z wierzchołka dość łagodne długie ramię, wzdłuż którego prowadzi łatwy szlak. Tego samego dnia zespół z Zawiercia w drodze do Rybnicy zahaczył o Boguszów-Gorce i powędrował na Chełmiec (851 m). W czwartkowy wieczór ustaliliśmy zasady organizacji posiłków i rozliczania się ze schroniskiem, wstępnie określiliśmy turystyczne cele na piątek. Głównym celem było Sokołowsko, ekipa zawierciańska miała inne plany, związane ze zdobywaniem „Korony Sudetów”.

Piątkowa wyprawa do Sokołowska odbyła się w sprzyjających warunkach przy pięknej pogodzie, dobrym śniegu, z wykorzystaniem trzech szlaków. W kierunku Sokołowska jedna ekipa wędrowała niełatwym zimą czerwonym szlakiem pieszym, trawersując strome zbocza, potem zaś wykorzystując leśne drogi, drugi zespół poszedł śladem szlaku rowerowego. Obie grupy spotkały się, dochodząc niemal jednocześnie do stawu znajdującego się na wschodzie miasteczka. Piszą „miasteczka”, bo taki jest charakter zabudowy, choć oficjalnie



Schronisko PTTK „Andrzejówka”



Sokołowsko

jest to wieś. Po krótkim odpoczynku wspólnie przeszliśmy, częściowo na nartach, przez Sokołowsko do gmachu dawnego sanatorium „Grunwald”. Sokołowsko to nie tylko „najmniejsze polskie uzdrowisko”, jak się czasem mówi, to także miejsce zamieszkania Krzysztofa Kieślowskiego i miejsce festiwalu filmowego jego imienia, co upamiętniono dwiema tablicami. Warto zapoznać się z bogatą historią i współczesnością tej miejscowości, która ma potencjalnie olbrzymie możliwości stania się perłą sudeckich uzdrowisk.

Dłużej zatrzymaliśmy się przy dawnym „Grunwaldzie”. Widać, że prowadzone są prace zabezpieczające i budowlane, jednak obiekt jest wielki i wielkich środków trzeba, by doprowadzić go do odpowiedniego stanu. Od „Grunwaldu” ruszyliśmy w drogę powrotną zrazu tropem kawiarni „Leśne Źródło”, która jednak okazała się być w remoncie, potem niebieskim szlakiem narciarskim w kierunku „Andrzejówki”. Szlak okazał się bardzo atrakcyjny widokowy i wygodny. Łagodnie zdobywając wysokość osiągnęliśmy Przełęcz Trzech Dolin i schronisko wczesnym popołudniem. Starczyło jeszcze czasu, by po krótkim odpoczynku wyskoczyć na narciarskie przebieżki przed wieczornym posiłkiem i spotkaniem. W tym czasie zespół zawierciański wybrał się w Rudawy Janowickie, by przejść trasę Szarocin – Bukowa – Skalnik (945 m) – Leszczyniec. Dzięki tej wycieczce do „Korony Sudetów” dołożył kolejny „diament”. Wieczór spędziliśmy razem przy wspomnieniach ubiegłorocznego Spotkania w „Zygmuntówce”. Nie zabrakło zdjęć i filmików z tamtej imprezy autorstwa Leszka, obejrzelśmy także zdjęcia z letniej rodzinnej wyprawy w Beskid Żywiecki niżej podpisanego. Niektórzy mogli porównać swoje niegdysiejsze wędrówki między Węgierską Górką a rejonem Romanki z dzisiejszym krajobrazem i stanem szlaków.

Czas na sobotę, drugi pełny dzień Spotkania. Poranek przywitał nas słońcem. Krótco po śniadaniu dużą grupą ruszyliśmy ku Skalnej Bramie i ruinom zamku Rogowiec. Założeniem było dojście jednym, a powrót innym szlakiem. Wędrowaliśmy wygodnym żółtym szlakiem, ledwo kilka bardziej stromych odcinków w dół niektórzy z nas pokonali „na butach”. Przy Skalnej Bramie zostawiliśmy narty i już zwyczajnie „z buta” wspięliśmy się wąską percią trawersująca bardzo strome zbocze do ruin zamku (879 m). Swoją drogą, komu się chciało budować tę strażnicę w tak niedostępnym miejscu? Początkowy był zamkiem książęcym (Bolko I świdnicki), później opoką raubritterów, w końcu jednak został zdobyty i wysadzony w powietrze (z rozkazu Macieja Korwina, króla Węgier, Chorwacji i Czech, w 1497 r). Jedno jest pewne, zdobyć toto na pewno nie było łatwo.

Pod Rogowcem przywitał nas silny wiatr, a samo podejście pełne wrażeń i prawdziwie górskie. Dość powiedzieć, że ewentualne poślizgnięcie grozi tam lotem po stromym zboczu co najmniej 100-150-metrowym, jeśli nie dłuższym. Trzeba było uważnie stawiać każdy krok. Na zamku spędziliśmy ledwo kilka chwil, wiatr był bardzo dokuczliwy. Odpoczynek miał miejsce po zejściu z ruin, w zacisznym miejscu pod ścianą Skalnej Bramy. Powrót odbył się częściowo znanym już żółtym szlakiem, potem czerwonym – wygodnym i w znacznej części widokowym.

W tym samym czasie zawierciani zmierzili się z Waligórą. Próbowali wejść nań szlakiem na wprost od schroniska na nartach, co jest przedsięwzięciem nad wyraz ambitnym, a mówiąc wprost – niewykonalnym. Udało się to w znacznej części – trzecią część podejścia zrobili na nartach, wyżej już „z buta”. Ze szczytu zjechali do rozdroża pod Waligórą, skąd czarnym szlakiem do schroniska. Później zafundowali sobie dawkę emocji na stoku zjazdowym (trzy osoby). Była też indywidualna trasa wokół Waligóry na Przełęcz pod



Przełęcz Trzech Dolin i schr. „Andrzejówka”



Skalna Brama pod Zamkiem Rogowiec

zawiercian, podsumowaliśmy Spotkanie i wybraliśmy miejsce kolejnego. Kryterium wyboru stanowiły dobre warunki śniegowe i łatwy dostęp. Wybraliśmy **schronisko PTTK na Stogu Izerskim**. Nie dość, że wysoko i mikroklimat sprzyjający trwałości pokrywy śnieżnej, to i stosunkowo łatwy dostęp dzięki kolejce gondolowej ze Świeradowa-Zdroju, zaś pobliskie szlaki i drogi leśne nadają się z powodzeniem do narciarskich wycieczek. W Beskidy wrócimy, gdy poprawią się zimy. Tymczasem XVI Spotkanie Śladowe wszyscy ocenili jako bardzo udane. Dopisał śnieg, dopisała pogoda, dopisały humory, sprawdziło się schronisko jako doskonała baza wypadowa – dziękujemy gospodarzom „Andrzejówki”.

W niedzielę 6 marca niektórzy opuszczali schronisko już wcześniej rano, inni w południe, jeszcze inni po południu, by wykorzystać dobry ciągle śnieg. Były to już indywidualne 2-3-godzinne wypadki. Ostatni, ostatnim autobusem (17.47) opuszczał „Andrzejówkę” niżej podpisany, sprawca tego narciarsko-turystycznego zamieszania.

Juliusz Wyślouch

Green Velo, czyli wschodni szlak rowerowy

Od kilkunastu ostatnich lat oryginalne tradycyjne słownictwo polskiej turystyki uzupełniane jest zbieraniną dziwacznych terminów, nazw, tytułów. Na czele do niedawna były określenia „destynacja” i „marka”, potem rozpanoszył się „projekt” jak w tytule. Jego znak firmowy to 4 kolorowe ogniwa rowerowego łańcucha, z dodatkiem „łańcuch atrakcji”, kalendarzem ściennym. Jest ilustrowany kilkudziesięcioma sztucznie upozowanymi zdjęciami rowerzystów z krajobrazami i zabytkami w tle.

Szlak podzielono na 12 odcinków, na każdy miesiąc roku (bez względu na pogodę i warunki na naszych drogach). Jakby tego było mało, to, niezależnie od klasycznego podziału kraju na polskie krainy geograficzno-przyrodnicze, każdy odcinek przypisany miesiącom nazwano „królestwem rowerowym”. I tak, kawałek styczniowy „Nad Zalewem Wiślanym” to część biegnąca drogami woj. warmińsko-mazurskiego, zaś odpowiednio „Dolina Bugu” to „królestwo” w woj. podlaskim i lubelskim.

Bez łamania sobie głowy warto wspomnieć, że wydawcą kalendarza Green Velo jest Regionalna Organizacja Turystyczna Województwa Świętokrzyskiego, a opracował i zilustrował jego treść zespół autorów (wieczna im sława i chwała!!!). Nietrudno zgadnąć, że ta „nowoczesna” forma popularyzacji turystyki rowerowej „w przyrodzie i krajobrazie” zawdzięcza swoje narodziny programowi (???)

Rozwój Polski Wschodniej wspartym przez Fundusze Europejskie – dla rozwoju Polski Wschodniej, czyli z części Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. A na dodatek WSR stał się faktem w terenie – wyjaśniają autorzy – jako Projekt finansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Rozwój Polski Wschodniej 2007-2013. Uff... Innymi słowy, wolno przypuszczać, że ani Polski Związek Kolarski, ani liczne sekcje i kluby kolarskie zaczętego PTTK, ani lokalne organizacje czy kluby rowerzystów/cyklistów, nie miały w tej sprawie nic do powiedzenia, np. Warszawskie Towarzystwo Cyklistów (istnieje 130 lat, od 1886 r.).

Trasa jest kręta i długa, ma prawie 2 tys. km, ale autorzy lojalnie wskazują wiele wariantów, co może się przydać bardzo wprawnym i cierpliwym rowerzystom. Ogólniki

typu „w okolicy liczna baza turystyczna” czy „wszędzie można podziwiać”, „spotkać tu można”, „godne uwagi” (jest coś tam), „warto zobaczyć”, a do Rzeszowa można się dostać... samolotem (idealny środek transportu dla amatorów turystyki rodzinnej, a rowerowej w szczególności. W tym mieście są... miejskie rowery!), albo o Łomży, gdzie jest pomnik-ławeczka, że miasto jest związane z aktorką Hanką Bielicką – to szczyty banału i dziurawej informacji, bo pominięto wiadomość, że w Suwałkach urodziła się Maria Konopnicka i Andrzej Wajda. W dwóch „królestwach” woj. warmińsko-mazurskim pominięto sanktuarium w Świętej Lipce i wspaniałe organy.

Czyli banał za banałem i banałem pogania. Więc może lepsze byłoby nazwanie tych informacji „Koroną Powierzchnowych Informacji”, w stylu nieudolnie napisanego przewodnika. Ale za to swoistą atrakcją jest mapka „królestwa Północne Mazury”, dołączona do kalendarza na marzec 2016. W jej opisie podano, że „Węgorzewo (to) najbardziej na północ wysunięta miejscowość tego obszaru”. A szkic pokazuje, że są jeszcze bardziej „północne”, np. Banie Mazurskie, Gołdap (i jeszcze Przełoś po drodze), a 7 km dalej na północo-wschód Stańczyki, Żytkiejmy i skrajne suwalskie Wiżajny. Ale najweselsze są opisy poszczególnych „królestw rowerowych”. Wielokrotnie najciekawsze krajozabytki, zabytki i przyroda znajdują się „w ramach”, np. jezioro Wigry w ramach Wigierskiego Parku Narodowego, zaś Suwałki to „miasto krasnoludków”. Schematyczny opis kolejnych odcinków, wytyczonych w pięciu województwach, ale jeśli Świętokrzyskie, start WSR w Końskich, Kielcach i Sandomierzu – to jest „Polska Wschodnia” – to tylko pogratulować autorom znajomości i stworzenia prywatnej geografii turystycznej Polski. Trudno pojąć dlaczego WSR narodził się w woj. świętokrzyskim, a poprowadzono go przez woj. lubelskie, podkarpackie, podlaskie, warmińsko-mazurskie, ale zarazem wykorzystano np. dobrze oznakowany Centralny Szlak Rowerowy Roztocza. Opisy dwunastu odcinków to z reguły teksty ułożone w 24-26 wierszach obok kalendarza. Trudno nie zauważyć płycizn tych tekstów. Oczywiście, nie można było napisać o wszystkim, co ciekawe w takim sztucznym „królestwie rowerowym”. Innymi słowy – powstała nieudolna mutacja popularnych przewodników turystycznych, z ubogim podkładem krajoznawczym. Jeszcze jeden „sztuczny byt”, jak wspomniana „destynacja”, „marka” czy „inwestycja”.

Świadomy wybór trasy wędrówki to przecież podstawa planowania wędrówki po kraju. Brak pomysłu nie da się zastąpić ufundowanym przez Komisję Europejską szlakiem poprowadzonym



przecież po znanych od wielu lat drogach i ścieżkach, a nawet gdzieś w bok od utartych szlaków, tam jest jeszcze mnóstwo półdzikich terenów, jakich w tej części Polski nie brakuje. Trasa, licząca około 2 tys. km, przez 5 parków narodowych, 15 krajobrazowych (z pominięciem wielu dostępnych rezerwatów), prowadzi do światowej sławy zabytków, miejsc ważnych w historii naszego kraju, wskazuje na atrakcyjną różnorodność kulturową Podkarpacia, Roztocza, Podlasia, Suwalszczyzny, była przecież łatwo dostępna od stu lat!!!

Na kilkudziesięciu fotografiach zastanawia widok turystów (?) na rowerach, do których w zaledwie kilku przypadkach doczepiono (na pokaz?) sakwy bagażowe, jakieś większe kosmetyczki (bo kierują nimi przeważnie młode dziewczyny), rzadziej matki z dwojgiem maluchów, albo oboje rodzice też z dwojgiem dzieci. Karykaturą rodzinnej turystyki rowerowej wypada nazwać pokazane na wielu zdjęciach dzieci (około 5-10 lat!!!) na spacerowych rowerkach.

To dobrze, że na dodatek niemal wszyscy mają na głowach kaski ochronne. Ale te seledynowe koszulki, jakby firmowe-szlakowe, być może także dzięki hojnemu Funduszowi Rozwoju Regionalnego, to zbytek reklamarskiej elegancji. Taka „europejska rewia mody kolarskiej”. Kto widział lub spotkał turystę kolarza, ten wie, że w kalendarzu jest dorodna lipa i balia bujdy.

Na stronach internetowych jedna wielka dziura, bo WSR miał być gotowy w 2016 r., ale tu i ówdzie roboty się omsknęły. Za to w krajobrazie pojawiły się biało-czerwone masywne bariery, oddzielające ścieżkę szlaku od jezdni poszczególnych dróg. Każdy taki element to lekko licząc 60-80 kg żelastwa, a więc na całej trasie może to być nawet tysiąc ton!!! (???) . Jedzie sobie rowerzysta i kątem oka widzi żelazny kolorowy krajobraz. Widziałem taką „inwestycję” w europejski rozwój Polski wschodniej w gm. Wizajny, w okolicach „trójstyku” granic Polski, Litwy i Obwodu Kaliningradzkiego, opodal wsi Bolcie. Dobrze, że w tym płocie krajoznawczo-krajobrazowym zostawiono przejazdy do pól, dla kombajnów zbożowych, siewników, traktorów z koparkami do ziemniaków. Ale jak Unia dała, to się wzięło, więc powstała trasa zbudowana wśród pól i lasów, w znacznej części „na surowym korzeniu”, czyli od „zera”. A dodatkowo asfaltowe dziesiątki kilometrów ścieżek oraz paradne koszulki i „cukierkowaty”, o mdlącym smaku, wspomniany kalendarz. A na dodatek... rozdawało rowery !

Powyższe uwagi – przyznaję, będą całkiem niepotrzebne, jeśli na WSR wybierze się turysta na rowerze po uprzednim dokładnym zaplanowaniu wędrówki. Po poznaniu porządnym przewodników zamiast osobliwego kalendarza. Przecież, jeśli już będę w terenie, wśród wspaniałego krajobrazu, gdzie cenne obiekty wprost „wchodzą w oczy”, to po co go namawiać, by „zwrócił uwagę”, „podziwiał”, „spotkał” „zobaczył”. Wszak przecież wybrał się w tamte strony nie po to, żeby gnać 50 km/godz. I nie zwracać uwagi na otoczenie. Mało kto uprawia turystykę bezmyślnie, ale widocznie organizatorzy WSR mają inne doświadczenia i przekonania.

Rozczulają też takie zwroty w tekście, jak „łącznik na Roztocze” (koło Niska), „galicyjska zabudowa centrum” (Rzeszowa), ochrona krajobrazu „w ramach Suwalskiego PK” (jak sama nazwa wskazuje, coś tam się chroni od czterdziestu lat!!!) czy podobnie w Łomżyńskim PK Doliny Narwi (istnieje od 1994 r.), a dowodem ignorancji krajoznawczej autorów WSR jest pominięcie zalecenia poznania w „królestwie rowerowym *Dolina Bugu*” osobliwości i walorów PK Podlaski Przełom Bugu (powstał w 1994 r.). A na dodatek dobra rada: „ostatnim punktem obowiązkowym jest” miasto Augustów, które „ma status uzdrowiska” – zamiast jest uzdrowiskiem (i ma wspaniałą obwodnicę, zamiast przez rozlewiska Rospudy!!!).

Innymi słowy – zdobywców WSR pozdrawiam, życzę szczerze szerokiej drogi i gumowych drzew oraz poboczy bez metalowych, biało-czerwonych barier ochronnych, a także licznych parkingów, toalet z łazienkami, jak w przy „trójstyku granic”, jak w malowniczej wsi Bolcie opodal Wizajn na skraju Suwalszczyzny.



Tomasz Kowalik

Co słyszeć w sklepach?

Piszcież, kuchnia, coś o pszczołach (Andrzej Waligórski). Takie mniej więcej polecenie otrzymałem od Naczelnego, czyli napisz coś o nowościach sprzętowych. **Więc piszę, pachną w słońcu ziółka, obszar plus minus jeden hektar, a wśród tych ziółek igra pszczołka biorąc do pyska słodki nektar** (A. Waligórski). O czym tu pisać, skoro wszystko jest w sklepach, niemal na wyciągnięcie ręki? Stąd tytuł „co słyszeć...”, a nie „co nowego...”. Może o „specjalistycznym” sprzęcie, chociaż słowo „specjalistyczny” nie jest tu niezbędne. Wystarczy, żeby turysta miał ODPOWIEDNI sprzęt i wyposażenie właściwe dla realizacji turystycznych celów.

Dawno, dawno temu, kiedy bardziej lub mniej doświadczony turysta chciał zaopatrzyć się w sprzęt, szedł do sklepu sportowo-turystycznego i kupował plecak, buty, naczynia, Kuchenkę, kurtkę „kangurkę” (były w powszechnym użyciu) i co tam jeszcze mu było potrzebne. Wyboru wielkiego nie było, ale ja miło wspominam wizyty w „moim” toruńskim sklepie na ul. Szerokiej. Teraz jest tam bank, jak niemal wszędzie. Przemiany systemowe przyniosły powstanie i rozwój prywatnych firm i sklepów większych, i mniejszych, lepiej lub gorzej radzących sobie na rynku. Zaraz potem wyrosły super-, hiper- i gigamarkety, oferujące szwarc, mydło i powidło, w tym (sezonowo) produkty przeznaczone do uprawiania różnych form aktywności fizycznej, np. turystyki. Specjalnie piszę „produkty”, nie zaś sprzęt i wyposażenie. Ubocznym skutkiem inwazji „wielkopowierzchniowych” było zniknięcie wielu dobrych sklepów i rodzimych firm produkujących niezły całkiem sprzęt.

Ale miało być o tym, co słyszeć w sklepach. Najpierw słowo o „specjalistycznym” i „profesjonalnym” sprzęcie. Potwierdziła się moja teoria, że wyposażenie turysty powinno (patrz wyżej) być **odpowiednie**, niekoniecznie zaś „specjalistyczne” i „prof...” itd. Potwierdziła się w rozmowie ze sprzedawcami w zaprzyjaźnionym sklepie turystyczno-górskim, jednym z tych, co założone na początku lat 90. działają do dziś. Oto na pytanie klienta, czy mają w sprzedaży „profesjonalne buty”, sprzedawca mówi często: „nie mamy takich”. No, ale widzę tu mnóstwo butów, dziwi się klient. Owszem, ale to są buty górskie odpowiednie do turystyki i wspinaczki, do spacerów po dolinach i do wędrówki, a także do turystyki wysokogórskiej. Jakże kto chce. To one nie są „profesjonalne”? – dalej dziwi się klient. Ano właśnie. Te buty, a także plecaki, czekany, raki, latarki, noże, śpiwory, kurtki, ochraniacze (stuptuty), spodnie itd. są odpowiednie, właściwe, przydatne w turystyce górskiej i wspinaczce i to wszystko. Ów rzeczywiście profesjonalny sprzęt to grupa niszowa, przeznaczona faktycznie dla niektórych grup zawodowych i rzadko, a właściwie wcale nieoferowany w sklepach. Zakupów wyposażenia dokonujemy głównie w sklepach turystycznych i wielkopowierzchniowych, bądź korzystamy ze sprzedaży wysyłkowej za pośrednictwem internetu. Oczywiście największy wybór znajdziemy w sieci, trudno żeby nawet najlepszy i największy sklep pomieścił wszystko, co jest na rynku. Kupując w odpowiednim sklepie możemy wszystkiego dotknąć, przymierzyć, poradzić się sprzedawcy o właściwości, sposoby konserwacji, trwałość produktu itp. Kupując w sieci, zdajemy się na własne doświadczenie i opinie innych kupujących, kupując w „...markecie” zdajemy się na „zwinne chińskie bądź tajskie rączki”, które uszyły tę kurtkę, plecak, buty.

Kupujemy buty. Od razu wykluczam obuwie „wielkopowierzchniowe” – sam się sparzyłem na takim zakupie. Miało być tanio i było, ale nic więcej. Można jednak znaleźć w sezonowej ofercie LIDL-a niezłe tanie buty (*crivit*) do turystyki pieszej w nietrudnym terenie. Ot, na beskidzkie ścieżki wystarczą – sprawdzone. Trzeba jednak zadbać o właściwą impregnację przed wyruszeniem w góry. Tamże (LIDL) spotkamy niezłe kurtki i polary (*crivit*), skarpety, a nawet przyzwoite czołówki. Jest to jednak oferta sezonowa i trzeba śledzić aktualności LIDL-a. Sklepy turystyczne oferują szeroką gamę obuwia, od spacerowego po wysokogórskie w cenach 150-600 zł, a właściwie górnej granicy nie ma. Jak kogoś stać, może nawet zamówić sobie buty w cenie samochodu. Jeśli polem działalności turystycznej mają być drogi i ścieżki w dolinach, a porą roku lato, wystarczą buty tzw. outdoorowe (trekkingowe

niskie według współczesnej nomenklatury), czyli niskie buty do kostki, ale z odpowiednią rzeźbą podeszwy i konstrukcją wierzchu. Ceny takich butów wahają się od 120 do 500 zł, ale największa podaż jest w grupie 150-300 zł i jest w czym wybierać. Można w takich butach wędrować także po łatwiejszych górskich szlakach, ale bez większego obciążenia z uwagi na nietrzymanie stawu skokowego. W grupie butów turystycznych „normalnych” (trekkingowe wysokie) mamy dwa główne rodzaje butów: kryte nubukiem i kryte skórą lakierowaną. Nie ukrywam, że jestem zwolennikiem butów ze skóry lakierowanej. Odporność



na niesprzyjające warunki terenowe jest większa niż nubukowych, a konserwacja dużo łatwiejsza i skuteczniejsza. Nie wymagają dość drogich impregnatów, wystarczy dobra pasta do butów, najlepiej na bazie lanoliny lub z dodatkiem wosku pszczelego (są takie). Nietrudno dostrzec, że dużą popularnością cieszą się buty marki Quechua dzięki sporej ofercie i przystępnym cenom. Firma oferuje pełen zakres od butów spacerowych po wysokogórskie, cenowo poniżej butów z najwyższej półki, czyli np. Salomona, Lowy, Dachsteina, Scary, Salevy, North Face'a, zwłaszcza w grupie popularnego obuwia turystycznego. Jeszcze Scarpa i La Sportiva uzupełniają listę marek dostępnych w naszych sklepach. Buty tych producentów są jednak drogie, jak na możliwości przeciętnie uposażonego Polaka, ale chętnych chyba nie brakuje, skoro są na naszym rynku. Jest zatem w czym wybierać i nawet przy ograniczonych środkach nie trzeba kupować byle czego „z kosza” w hipermarkecie. Tu uwaga: zachowujmy paragony, ponieważ nawet najlepszym producentom zdarzają się wpadki i bywa, że trzeba reklamować. Mam jedną parę znamienitej firmy i choć są wygodne, jak nie wiem co, to gumowy otok nad podeszwą wymaga nieustannego klejenia. Po całym dniu na szlaku odspaja się miejscowo od cholewki. Co robić? Mieć w zapasie kilka tubek kleju do połączeń elastycznych, np. cyjanopan E.

Co się tyczy plecaków, to wyprawowe o pojemności 60-80 l oferowane przez uznanych producentów tanie nie są. Trzeba liczyć się z wydatkiem powyżej 300 zł – przeciętnie w granicach 400-500, a są i takie po 700, 800 nawet 900 i to krajowych producentów, chyba że trafi się na wyprzedaż lub promocję jakiegoś modelu. Wtedy można kupić dobry plecak nawet za niemal połowę pierwotnej ceny, np. nie za 450, a za 250 zł, nie za 500, a za 300. Warto szukać. Można jednak znaleźć modele na poziomie 200 zł, może mniej „wypasione”, ale zupełnie porządne. Pamiętajmy o jednym. Im więcej plecak ma dodatków w postaci pasków, klamerek, przywieszek, zamków, tym jest cięższy. Warto przed zakupem dobrze się rozejrzeć. Ciężar plecaków tej samej wielkości i pojemności waha się od 1,3 kg do 2 i więcej kg, a to spora różnica. Te najdroższe i najcięższe są najwygodniejsze, ale jest coś za coś – wygoda za większy ciężar na plecach. W przypadku zakupów w supermarkecie, czego nie można jednak wykluczyć, warto zwrócić uwagę na markę „semi-line” – można coś sensownego wybrać.

Podobnie jest z namiotami. Małą rewolucję typu „one-touch” mamy już za sobą i właściwie niewiele nowego w temacie. Trudno dziś kupić dobry tani namiot nadający się do noszenia na górskiej wędrowce. Tym bardziej doceniam swoją starą „lubawę” – obszerną „dwójkę” ważącą 2,5 kg z dodatkowymi odciągami i szpilkami. Teraz za taki namiot „marabuta” trzeba dać 600-700 zł, a za te z wyższej półki – grubo ponad tysiąc. W warunkach naszych gór na letniej wyprawie wystarczy namiot klasy „popularnej”, który kupimy już za 200 zł. Są i tańsze (około 100 zł), ale trudno się spodziewać dobrej jakości i trwałości za taką cenę.

Na wędrowce niezbędna jest latarka. Wiadomo, chodzi o czołówkę. Tu wybór jest ogromny, a rozpiętość cen od 4 do 150 zł. Już za 30-50 kupimy całkiem porządną latarkę. Doradzałbym latarki zasilane bateriami, nie akumulatorami. Te po jakimś czasie zużywają się i nie ładują, a mając zapas baterii (alkalicznych) zapewnimy latarce działanie. Podobnie jest z radiotelefonami. Wybierajmy te na baterie, akumulatorowe nie mają długiego żywota.

To tyle pokrótce przypomnienia, co i jak warto jest naszej uwagi przy zakupie sprzętu i wyposażenia. Wybór i tak należy do każdego z nas w zależności od zawartości portfela i potrzeb turysty oraz od przewidywanego przeznaczenia.

Juliusz Wyślouch

Kolekcjonerzy km (3)

W internecie pod adresem <http://plecakwspomnien.eu> znajduje się tekst autora bloga (rydkodym@gmail.com): *Plecak Wspomnień to blog, na którym pokazuję, że marzenia są po to, aby je spełniać. Jakiś czas temu postanowiłem podróżować po świecie i mimo ograniczonej ilości czasu i pieniędzy, zacząłem działać. Odkryłem autostop i tanie linie lotnicze. Odważyłem się spać w namiocie i na Couchsurfingu. Dzięki tym narzędziom stałem się niskobudżetowym podróżnikiem i teraz regularnie skreślam pozycje z mojej listy marzeń. Ten blog, to narzędzie do inspirowania innych. Swoim przykładem, pokazuję jak zamieniać marzenia we wspomnienia. Pozdrawiam! Kuba Rydkodym.*

A może Ty czytelniku podzielił się swoimi wspomnieniami czy przemyśleniami. Poczytaj niektóre wcześniejsze komentarze z Internetu

Agata: Świetny artykuł, fajna taka ubezpieczona beztroska.

Anonymous: Pragnę tylko potwierdzić, że „Polska jako jedyna zalegalizowała” autostop, bo PRL to był chory kraj, gorszy od ZSRR, bo tutaj wszystko musiało być na papierze, na wszystko musiało być zezwolenie, bo samowolka to akt sprzeciwu wobec władzy, więc żeby wyszło na nasze, to ustanowimy instytucje zajmującą się tym właśnie. I ta biurokratyczna historia Polski trwa do dziś dzień i nie ma zamiaru przeminąć...

Rydkodym: Racja, taki był powód powstania komitetu. Myślę jednak, że z punktu widzenia ówczesnego autostopowicza miało to więcej plusów niż minusów.

Anonymous: Facet! Gorszego kraju, jak mówisz, od ZSRR, nie mogło być! Coś Ci się pomerdało i to dobrze, skoro takie opinie na temat autostopu wygłaszasz.

Anonymous: jak ktoś nie widział niczego poza swoją wioską, to pitoli, jaka ta Polska najgorsza.

Anonymous: Witam, Właśnie siedzę nad pisaniem swoich wspomnień także z drugiego roku Auto-stopu, to jest z 1989 r. Pragnę sprostować wiadomość o sposobie nabywania książeczek przynajmniej w dwóch, a może w trzech pierwszych latach. W Łodzi, a zamieszczone zdjęcie dwóch autostopowiczów jest właśnie pstryknięte na ul. Piotrkowskiej, stało się w tym czasie w długiej kolejce, w niedalekim od miejsca zdjęcia, biurze Zarządu Łódzkiego PTTK (róg Piotrkowskiej i Traugutta). Liczba książeczek była ograniczona. We wspomnianym roku przejechałem łącznie w trzech podróżach 1888 km i to nie dla wyczynu sportowego bynajmniej, ale dla poznania Polski i ludzi. Studiowałem geografę. W następnych latach podróżowałem co roku aż do 1967, zarówno sam, jak i w grupie



maksymalnie trzyosobowej. Złych przygód miałem trzy lub cztery, zarówno ze strony kierowcy, właściciela kwatery i pseudoautostopowicza. Ogólnie dobre i bardzo miłe wspomnienia pozostały na całe życie, niezapomniane. Z krajoznawczym pozdrowieniem, Waldemar Bohdanowicz.

PS. Czy mogę w swoich Wspomnieniach umieścić wspomniane zdjęcie, oczywiście z podaniem źródła? Będę zobowiązany za potwierdzenie. (Czarno-białe zdjęcia pochodzą ze zbiorów Bogusława Laitla. Autor: L. Fogiel.)

Anonymous: Autostopowicz z lat 1970-1974. Objechałem sam lub maksimum w dwóch kolegów całą Polskę. W większej grupie nie dało się jechać. Wspominam to mile, mimo całodniowych wyczekiwań na auto, które gdzieś nas zabierze! A czekało się od rana do wieczora!

Daniel Such: Gdybym mógł prosić wszystkich chętnych do podzielenia się swoimi wspomnieniami z podróży autostopem w czasach PRL-u, byłbym bardzo wdzięczny. Piszę pracę magisterską na temat jak było i jak jest uwzględniając carpooling. Mój email: suchdaniel@gmail.com.

Anonymous: Jeździłem stopem w latach 1970-1978 – masa wspomnień (w 99 proc. bardzo miłych), masa fantastycznych ludzi, których poznałem (kierowców, ludzi dających możliwość noclegu, autostopowiczów). Jeździłem po Polsce, NRD – zawsze z książeczką! Nigdy długo nie czekałem; jednego dnia potrafiłem przejechać np. z Wrocławia na Hel, co – biorąc pod uwagę ówczesny stan dróg i jakość samochodów – uważam to dziś za duży wyczyn. Dziś jestem dziadkiem, jeżdżę na urlopy samochodem do Włoch, Chorwacji i... brakuje mi atmosfery tamtego autostopu.

Bartłomiej: Bardzo się przyjemnie czytało.

Jacek: Polecam wspomnienia Jolanty Jaśmin zamieszczone w Magazynie Turystycznym Światowid w latach 1962-1965 pisane anonimowo, a potem autorka musiała się ujawnić i opublikować swoje zdjęcie. Taka była wola czytelników.

henrykpaciej@orso.pttk.pl

– podziel się swoimi uwagami i przemyśleniami

U kresu wędrówki

Zmarła nasza najserdeczniejsza Koleżanka Maria Józefa Balkowska-Damian

Urodziła się 25.03.1932 r. w Woznowszczyźnie (Litwa), a zmarła 14 marca br. Była długoletnią prezes Wrocławskiego Klubu Piechurów „Perpedes”, członkiem Komisji Turystyki Pieszej i wiceprezesem Zarządu Oddziału Wrocławskiego PTTK (2013-2016). Na liście przewodników Turystyki Pieszej PTTK jest od 1964 r. na 28. pozycji z numerem legitymacji 204, miała pierwszy stopień uprawnień w tym zakresie. Była też wiceprezesem Koła Wrocław-Krzyki Związku Sybiraków i członkiem w jego sekcji składek.

Odnaczona została za działalność zawodową i działalność społeczną w PTTK Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Honorową Odznaką PTTK, Złotą Odznaką Zasłużony w pracy PTTK wśród Młodzieży i Złotą Odznaką Honorową Oddziału Wrocławskiego PTTK.

Została pochowana w Miłkowicach koło Legnicy 17. marca br.

Aleksandra Uchman i Andrzej Rumiński

Ján Jesenský vel Jan Jessenius – wielki Słowak z Wrocławia

Ukazujący jako Europejska Stolicy Kultury 2016 swą ponadregionalną wielkość Wrocław szczyli się swymi rozległymi powiązaniem kulturowymi po całym kontynencie. Trzeba z tej okazji pokazać mieszkańcom śląskiej stolicy, ale nie tylko, niemal zupełnie nieznaną im postać – dodatkowo skłania do tego fakt, iż minie niedługo 450 lat od jego urodzin nad Odrą. Jego szlachecka rodzina pochodziła z Wielkiego Jasiona (Vel'ke Jaseno) na podnóżu Wielkiej Fatry na Słowacji, która wchodziła wówczas w skład Korony Węgierskiej, stąd często mylnie Jan, używający łacińskiej wersji nazwiska lub niemieckiej jako Johannes Jessenius, określane bywa Węgrem. Wysłany w misji dyplomatycznej do Wrocławia dla zyskania pomocy przed nadciągającymi Turkami ojciec – Baltazar, pozostał w nim żeniąc się z miejscową panną. Tu też urodził im się syn, który po ukończeniu gimnazjum podjął studia na coraz sławniejszym ewangelickim uniwersytecie w Wittenberdze, kontynuując je na medycynie i filozofii w Lipsku, uwieńczone w 1587 r. stopniem bakałarza. Magisterski uzyskał w 1591 r. w Padwie, ale z powodu swojego ewangelickiego wyznania niedane mu było przeprowadzenie doktoratu. O jego poczuciu narodowym świadczyło nie tylko poprzestawanie w kręgu słowackich i czeskich studentów, ale i użycie wtedy po raz pierwszy nazwiska *Jan Jessenius z Vel'kého Jasena*. Po powrocie do Wrocławia ożenił się z Marią Fels i podjął praktykę lekarską szybko zyskując taki rozgłos, że w 1592 r. został ściągnięty do Dreżna jako osobisty lekarz księcia-elektora saskiego Wilhelma. Skuteczność i mądrość przyczyniła się do zaproponowania mu w 1594 r. profesury anatomii, chirurgii i botaniki przez wittenberski uniwersytet, rychło nim kierując jako rektor. Słynny astronom Tycho Bracho zaprosił go w 1600 r. do Pragi, gdzie rezydowali królowie Czech, zarazem cesarze habsburscy. Wieść o skuteczności Jesenskiego dotarła do Rudolfa II, który uczynił z niego w 1602 r. osobistego medyka (potem i cesarza Macieja II). Paradoksem było, że tak wybitny umysł, autor wielu naukowych dokonań (m.in. pierwsza w tej części Europy publiczna sekcja zwłok) nie mógł być zatrudniony na praskim uniwersytecie – raz jako ewangelik, dwa – będąc żonaty. Dopiero po śmierci partnerki i długiej podróży po Europie został członkiem kadry Uniwersytetu Karola, a w 1617 r. nawet jego rektorem. Światły i patriotycznie nastawiony wsparł – dodatkowo jako ewangelik, antyhabsburski ruch Czechów i protestantów po słynnej defenestracji na zamku praskim w 1618 r. Wszedł wkrótce w skład tzw. dyrektoriatu, bowiem wojska cesarskie wyparły obwołanego królem Czech Fryderyka palatynackiego. Ferdynand II Habsburg, zwyciężywszy na Białej Górze w 1620 r. okrutnie i jego potraktował, nie bacząc na wielki umysł Słowaka i jego osiągnięcia medyczno-naukowe. Uczony, nie bacząc na zagrożenie, pozostał w Pradze licząc na swoją europejską pozycję, ale nie uchroniła go przed pojmaniem w grudniu 1621 r. i bestialską zagładą. Ucięto mu palce, żeby nie mógł pisywać „herezji”, i język, żeby jej nie mógł głosić, wreszcie ścięto – wraz z dwudziestoma sześcioma innymi „winnymi” przeciwstawienia się cesarzowi i Rzymowi. Głowa tkwiła na palu przez kilka tygodni na rynku Starego Miasta, po czym pochowano ją w przyziemi kościoła NMP przed Tynem. Wrocławski Słowak ma swoje hasło w „Encyklopedii Wrocławia”, on też stał się jednym z głównych bohaterów Rosemarie Schuder w jej „Synu czarownicy. Opowieści o Janie Keplerze”. Warto po nią sięgnąć.

Krzysztof R. Mazurski



Nowy etap turystycznego zgłupienia

Wiele lat temu wymyślono tarasy widokowe i platformy widokowe na szczytach gór, bariery i schody, żeby łatwiej było tam wejść. Typowe przykłady do dziś są w Karkonoszach i Górach Izerskich, jak choćby też schody na Szczeliniec Wielki z Karłowa czy na Trzy Korony - Okrąglicę ze Sromowców i Krościenka nad Dunajcem. Po latach zbudowano żelazną wieżę widokową na Baraniej Górze, żeby można było podziwiać panoramę beskidzką ponad wierzchołkami drzew. W innych miejscach to samo, zbyt dużo do wymienienia. W innych okolicach co wybitniejsze wzniesienie wzbogacono o kratownice i podesty, schody, bariery i platformy widokowe z ocynkowanych elementów. Typowe konstrukcje są na wspomnianych Trzech Koronach, na świętokrzyskim gołoborzu i w innych miejscach.

Postęp w zgłupieniu jest ogromny. Latem 2015 zbudowano cztery aż 28-metrowe wieże widokowe na Koziarzu (ramię opadające od Przehyby do Nabrzeży i nad zakole Dunajca w Wietrznicach). Następne są na Gorcu oraz Lubaniu (ramiona opadające od Turbacza do Ochotnicy Dolnej i Krościenka). Ale udział własny gmin inwestujących w takie „cuda” jest minimalny. Napisano karkołomnie „projekty”, żeby wyrwać kasę ze środków Unii Europejskiej na sfinansowanie takich inwestycji w imię „rozwoju regionalnego”. Co rozsądniejsi modlą się, żeby wreszcie „ta kasa z Unii” pokazała dno. Niestety, są i tacy, którzy jak ognia unikają wspinania się na góry po to, żeby... wejść na wieżę widokową!!! Jednak wieje grozą, gdyż są jeszcze programy sięgające po lata 2017-2020. Więc lokalni czynownicy udoskonalają krajobraz na potęgę i dlatego „hulaj dusza, umiaru nie ma”. Jakby na przekór wszystkim obrońcom krajobrazu, ekologom rozmaitych odłamów, obrońcom przyrody, krajoznawcom sprzeciwiającym się wymyślanym chodnikom i schodom w górach, jak w Bieszczadach. Turystyka ma od wieków nieodłączny związek z przyrodą, wysiłkiem człowieka na szlakach wycieczek i... myśleniem. Tymczasem lokalni dobroczyńcy, nie brak wśród nich aktywu turystycznego lokalnych ogniw naszego Towarzystwa, którzy dla wątpliwej chwały i triumfalnego zapisu w sprawozdaniach, robią wszystko, żeby naturalną turystykę tak ułatwić, żeby chciało się... wymiotować.

I nie trzeba było długo czekać, by nad Starym Sączem władze miasta i gminy zaprojektowały inwestycję niebywałą – platformę. A jest to ni mniej ni więcej, tylko dokładniej drewniany pomost z barierami i miejscami do plażowania. Patrząc z boku, to podwieszony nad terenem na wysokości około 20 m ni to hamak, ni to chodnik, ni to wieża obserwacyjna. Żeby było lepiej widać kotlinę z zabytkowym miastem św. Kingi. A śmiałość pomysłu jeży włos na głowach dlatego, że już jeden taki pomysł zrealizowano nad Popradem w sądeckiej Woli Kroguleckiej. Platforma-chodnik ma mieć 240 m, więc

zapewne nie tylko ułatwić patrzenie w dół (wiadomo: z góry więcej widać !), ma ozdobić krajobraz Miejskiej Góry, niedaleko centrum Starego Sącza. Oczywiście przejrzysta konstrukcja metalowa będzie lżejsza aniżeli drewniana. Tym samym bezpłatny wstęp na tą budowlę będą miały ułatwiony matki z wózkami, niepełnosprawni ruchowo, maluchy ledwie drepzące prowadzone za rączki przez babcie, dziadków i dumnych rodziców, którzy wysiądą sobie opodal z samochodów, a turyści z rowerami będą mogli nawet wjechać na tę „plażę z widokiem na miasto”. Skala



Platforma widokowa w Starym Sączu. Fot. www.wstarymsaczu.pl

idiotyzmu tego pomysłu sięga niezbyt wysoko, ale jednak wystarczająco, żeby zachęcać bezmyślnych do włączenia na taką platformę tylko dlatego, żeby popatrzeć z góry na okolice ponad wierzchołkami drzew!!! Mało tego, zapewne wezmą te budowle w posiadanie nie tylko rowerzyści, także wandalę na motocyklach krosowych, a ponieważ jest dość szeroko, to nawet czterokołowce (quady). Unia daje, to się bierze, choćby nie wiem jaka szkoda=korzyść będzie z takiej inwestycji. Szkoda, że te tysiące urzędników unijnych, czytających takie projekty, nie wybierze się w polski teren, żeby domyślić się przed podjęciem decyzji, po co komu takie upiększanie krajobrazu, ułatwianie „turystyki”. Na kpinę z naiwności dysponentów funduszy na rozwijanie polsko-słowackiej Współpracy Transgranicznej już nie zakrawa, ale jest dowodem, że „wciskanie kitu” nie zna granic nie tylko polsko-słowackich. Przede wszystkim jest idiotyzmem i kpiną ze zdrowego rozsądku. Mało tego, do platformy-chodnika-pomostu-punktu widokowego na panoramę Starego Sącza nad drzewami będzie doprowadzona oświetlona droga, zapewne też parking. Oby starczyło (z całej kwoty 4 mln zł na ten ogłupiający projekt) środków na choćby jedną kabinę toy-toy w pobliżu tego ustrojstwa dla „turystów”.

Rozpisanie władz gminy Stary Sącz oraz poziom kompetencji w sprawach związanych z ochroną krajobrazu są – łagodnie mówiąc – jałowe do n-tej potęgi. To swoiste dowody tępoty i bezmyślności w jednym. Zręcznie napisany wniosek o wsparcie finansowe jakiegoś kretyństwa pod „unijnym sztandarem” skutkuje zawłaszczeniem kawałka kraju przez lokalnych urzędasów, śniących o swoich pomnikach kosztem dobra wspólnego. A jest nim nasza przyroda, krajobraz, unikatowe walory lokalnych osobliwości. Wszystko jedno, czy będzie to sterzący w krajobrazie maszt telefonii komórkowej, czy platforma „widokowa”, czy przylegająca „jak pięść do nosa” lub „wół do karety” inwestycja z cyklu „oferta gminy dla amatorów wypoczynku”. Nie ma lepszej niż na wieżach widokowych.

Kto zechce poznać wspomnianą platformę widokową w Woli Kroguleckiej, nie musi daleko szukać – wystarczy „wygugłać” nazwę tego cudactwa. Brakuje tylko nazwiska projektanta. Do naturalnego krajobrazu i przyrodniczego otoczenia spiralny kształt budowli pasuje jak... (tu każdy może sobie wpisać własne odczucia i określenia). Platforma znajduje się na otwartej przestrzeni na wzniesieniu 550 m. A jakby tego było mało, to jeszcze góruje 200 m nad doliną Popradu. Zalecane jest dojście szlakiem turystycznym z Barcic na Makowicę. Już po kilkuset metrach mamy Beskid Sądecki i Wyspopy jak na jednej dłoni. Jeszcze wiele wody upłynie, nie tylko w pobliskim Popradzie, zanim w tych i wielu innych okolicach lokalne władze opamiętają się i zaprzestaną „ozdabiania krajobrazów” takimi budowlami. Niestety, trzeba być czarnowidzem, bowiem jeszcze kilka lat Unia Europejska i jej liczne fundusze będą dostępne na realizację podobnych projektów, jak w gminie starosądeckiej i nad zabytkowym Starym Sączem. Środki finansowe będą płynąć dość wartkim strumieniem. Ale kto po latach da „złamane grosze/centy” na przywrócenie zdewastowanych krajobrazów do stanu choćby zbliżonego do pierwotnego???

Na boga, ludzie decydenci, państwo Radni gmin i ich Wójtowie podejmujący decyzje o dewastacji krajobrazu, pomyślcie chwilę, że on nie jest dany wam na chwilę, żebyście mogli bezmyślnie poszaleć, przecinać wstęgi i brać udział w uroczystych „pokropkach” księży proboszczów, to jest dobro dla wielu następnych pokoleń. Nie ma żadnej pewności, że będą im niezbędne do szczęścia rozmaite „platformy widokowe”. A swoją drogą ciekawe, co o takim upiększaniu krajobrazu na swoim terenie sądzą działacze Oddziału PTTK „Beskid” w Nowym Sączu. Nasi – i Wasi Szanowni Koledzy – następcy też mają niezbywalne prawo do czystego środowiska, naturalnych krajobrazów i niezdeprawowanej przyrody. Wszak to znakowane przez Was szlaki prowadzą do tego „nowego piękna”. Na szczęście – jest takie porzekadło: *dłużej klasztora niż przeora*, więc serdecznie wszystkim zainteresowanym życzę jego spełnienia.

Tomasz Kowalik



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Lubuskie dla niepełnosprawnych

Niepełnosprawni z różnych przyczyn nie mogą funkcjonować w społeczeństwie jak jego pozostała część. Napotykają oni na rozliczne bariery społeczne i techniczne, co utrudnia im choćby aktywny udział w turystyce, tak niezbędnej dla kształtowania wiedzy o Świecie – począwszy od najbliższego otoczenia. Od pewnego czasu problem ten próbują zmniejszyć wydawnictwa o charakterze turystycznym, żeby przytoczyć przykład tylko przewodnika dla niepełnosprawnych po Wrocławiu. Pod koniec 2015 r. ukazała się dla nich specjalna mapa po woj. lubuskim, opracowana pod kierunkiem znanego w tej branży specjalisty.

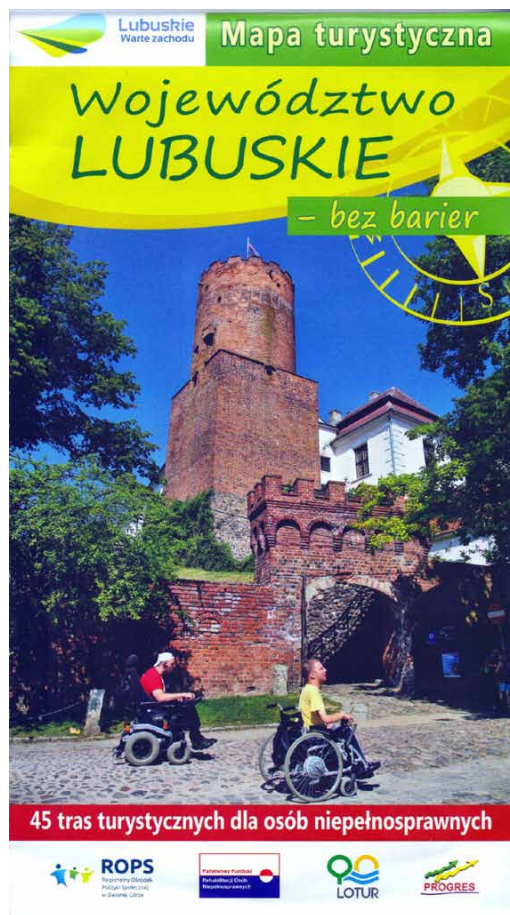
Duży format przy zastosowaniu nietypowej podziałki, utrudniającej mniej wprawnym przeliczenie odległości – zwłaszcza że nie zamieszczono ich przy drogach, zapewnia jej znaczną przejrzystość z silnym wyeksponowaniem terenów leśnych. W końcu jednak województwo to jest w połowie zalesione! Istniejąca gęstość dróg jest wystarczająca, aczkolwiek przydałyby się nieco mocniejsze kolory dla dróg niższych kategorii. Z kolei nazwy mniejszych miejscowości mogłyby być opisane nieco większą czcionką (korekta przepuściła MIEDZYZRZECZ!), bo miejsca jest dosyć. Nie podano, co zwykle czyni się przy podobnych publikacjach, sygnatur na obiekty krajoznawcze: pałace, kościoły itp.

Na czołówce mapy znajduje się informacja: *45 tras turystycznych dla osób niepełnosprawnych*. W jej treści ich przebieg, czasami nieco kłopotliwy do ustalenia, oznaczono kolejnymi numerami, których układ przy drogach czy rzekach ma wskazywać na trasę do pokonania. Jest to powiązane z krótkimi opisami poszczególnych punktów, zaczynającymi przy samej mapie, a w większości zamieszczonych na jej odwrocie. A tu czeka na odbiorcę niespodzianka: sygnalizuje się 45 tras, na mapie oznaczono ich tylko 14 (z wariantami) i dodatkowo pkt. 31. Tymczasem opisy posiada 14 tras – chyba że 45 wynika z ilości wariantów (nie liczyłem), ale nie jest to jasne dla turysty. A skąd 31? To nie „czeski” błąd, bo wszystkie „trzynastki” mają swoje warianty.

Każdy opis posiada następujący schemat: położenie, trasa i informacja (turystyczna), zaś w główce podaje się lokalizację punktu i długość trasy. Stąd dopiero wynika, że te ostatnie nie są dystansami między poszczególnymi miejscowościami, a wypadami – tak to nazywając, z nich. Gwiazdkami od 1 do 3 oznaczono stopień trudności dla tzw. wózkowców. Jakość opisów jest różna, niestety, dość sporo usterek czy uwag postulatywnych. Za mało podkreślona łązyckość pewnych miejsc, jak choćby Żar – Stolicy Polskich Łuzyc, co ma istotne znaczenie promocyjne, czy śląskość, np. Żagania, który odegrał tak istotną rolę w historii Śląska, w części objętego granicami woj. lubuskiego. Co najmniej niezręczne są pewne zapisy, choćby w Gubinie, gdzie jest „katedra – kościół parafialny – fara”. Rzeczywiście, tak miejscowi mówią synonimicznie, ale w takim materiale informacja powinna być jednoznaczna. Jest ruina (!) kościoła parafialnego, który katedrą nie był, a fara to potocznie właśnie to pierwsze określenie. Przydałaby się więc lepsza uwaga przy doborze informacji krajoznawczych.

Mimo wskazanych usterek i wątpliwości publikacja zasługuje na pozytywne przyjęcie z nadzieją, że następne wydania lub podobne tytuły uwzględnią je. I uprościć opis bibliograficzny!

Lubuskie Warte zachodu. Mapa turystyczna. Województwo lubuskie – bez barier. Mapa turystyczna skala 1:220 000. Koncepcja: Stanisław Francuz. Oprac. kartograficzne: Aleksandra Domeradzka, Andrzej Duliba. Opis tras dla w-skęsków: Stanisław Francuz, Wiktor Francuz. Copyright by Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich PROGRES [2015].



Krzysztof R. Mazurski

Literacka Miedzianka



Dzisiejsze czasy każą nam inaczej postrzegać otaczający nas świat. Zmienia się wizerunek dziejowego pochodzenia pokoleń, niosący inne sposoby odbioru rzeczywistości przez nowe formy przekazu i nowe treści. Młody (ur. w 1982 r.), acz doświadczony i utytułowany literat i fotoreporter, Filip Springer przez ponad dwa lata szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego podjeleniogórska Miedzianka jako miasteczko z siedmowiekową tradycją „zniknęło z powierzchni Ziemi”. Może sprawiło to rabunkowe wydobywanie uranu przez Rosjan w latach 1948-1952, a może opowieści o tutejszych szkodach górniczych stworzyła powojenna polska władza, by zdobyć pretekst do wyburzenia miasta i ukrycia tajemnic niedawnej przeszłości. Rozmach w drążeniu tematu nie odstępował energii niemieckiego założyciela w 1952 r. tabloidowej gazety „Bild” – *nomen omen* – Axela Cezara Springera.

Reporterski debiut autora stanowiła wystawa „Miedzianka. Historia znikania”, która doprowadziła go do finału nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki w 2011 r wraz z nominacją do nagrody Literackiej „Gdynia 2012”. Powstała, w ślad za wystawą, reportażowa powieść pod tym właśnie tytułem, trafiła do, coraz bardziej docenianej w kraju i już obecnie renomowanej, serii wydawniczej „Reportaże”, ukazującej się w podkarpackim Wołowcu koło Sękowej, na najbardziej wysuniętym na wschód skraju woj. małopolskiego. Choć to mała podgórska wieś, to wydawana w niej seria już liczy 34 pozycje autorów światowych (z czego dwie doczekały się dwóch wydań) i ma swój dział promocji w centrum stolicy, skład wykonuje Kraków, a druk inowrocławski „Pozkał”, ale redakcja mieści się w pobliskich Gorlicach.

Do literackiej opowieści wprowadza opis polnego zapadliska wskutek szkód górniczych oraz bratobójcza historia, przypomniana przez dwa kamienne krzyże pokutne. Otoczenie społeczne ludzi, zatrudnionych przy pozyskiwaniu uranu, stanowią nie tylko pozostali tu jeszcze po wojnie Niemcy, zwycięzcy Rosjanie i osadzający się w nowej rzeczywistości Polacy. Opowieść ta porusza miłośnika historii, tej dawnej, średniowiecznej z pierwszymi inicjatywami górniczymi, jak i tej najnowszej, z przyjezdnymi spod Krakowa robotnikami w poszukiwaniu zarobku. To wciągająca historia mieszkańców powojennej Miedzianki, którzy postanowili budować swoje życie na nowo, zakładać rodziny, chować blisko siebie najbliższych członków rodziny, ale też podejmowali skutecznie próby zwalczania przesądów i życiowych obaw.

Ugruntowanym przywilejem recenzenta pozostaje podejmowanie krytyki w miejscach, gdzie istnieje potrzeba zareagowania. I tak, wiele zastrzeżeń można mieć do, obszernej wprawdzie, „Wybranej literatury”, która liczy aż 60 pozycji. Jest ona bowiem niedokładna: pracę zbiorową (*Słownik geografii turystycznej Sudetów*, t. 5: *Rudawy Janowickie*, Wrocław 1998) przypisano jednemu tylko autorowi (s. [258]), ogólnie przytaczano tytuły czasopism, a rzadziej ich roczniki i numery (s. 256-[258]), nigdy jednak nie uwzględnione były strony, na których umieszczone zostały artykuły prac zbiorowych czy też periodyków. Ale mimo to wykaz ten przydawać się będzie dociekliwym czytelnikom. Spory chaos panuje jednakże w nazwach fizjograficznych: pobliski zamek Bolczów autor pozostawił przy jednej z dawnych nazw niemieckich jako Bolzenstein (s. 7). Dla archaizacji autor stosuje niemieckie nazwy miast zamiast polskich, choć historycznie miały one polskie formy: Hirschberg zamiast Jeleniej Góry i Kupferberg zamiast Miedzianki (s. 10). Pobliskie stare wsie, Mniszków i Trzcianko Zdrój (s. 11), o polskich nazwach od czasów średniowiecznych przybrały w opisie wojny trzydziestoletniej (maj 1641 r.) nazwy niemieckie. Wsi o trzeciej nazwie (*Johannesdorf*) nie było na Śląsku, a niechybnie chodziło tu o pobliski Janiszów w pow. kamiennogórskim (*Johnsdorf*). Gdzie indziej (s. 26) autor zamierza wyjaśniać, że to była dawna nazwa Janowic Wielkich. Dla czytelności przekazu korzystniejsze byłoby stosować zamiast niemieckich ówczesne i obecne nazwy polskie takich miast, jak Lwówek Śląski, Świerzawa i Złotoryja (s. 47). Do czasów po II wojnie światowej autor zupełnie ignoruje aspekt chronologiczny. Nie najkorzystniej jednak wypadły autorowi cytaty obcojęzyczne, w tym wypadku niemieckojęzyczne, jak użycie niestwierdzonego słowa *wes* zamiast *wenn* (s. 12), czy – niemal wszędzie – *Kronik* zamiast *Chronik*.

Co należy wpisać do zasług autora to fakt, że zdołał on, dzięki swoim niekwestionowanym zasługom, uzyskać dla wydania swojej książki wsparcie finansowe Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W walory ponadczasowe przyniesie przyszłość, podążając za ostatnim jej zdaniem: „Miedzianka zniknęła, ale nadal jest”. I z pewnością będzie. Do wydawnictwa przyciąga barwna fotografia z pleneru z koniem, a w tekście czarno-białe fotografie z albumów rodzinnych.

Filip Springer: *Miedzianka. Historia znikania*. [Z serii:] Reportaż, wyd. 3 rozszerz. Wołowiec: Wydawnictwo „Czarne” 2015, 257 s. + 6 nlb.

Grzegorz Pisarski

Od Redakcji: Przypomnijmy, iż o „umieraniu” Miedzianki pisali daleko wcześniej wrocławianie: Roman Wytyczak (Wierchy 1971 T. 40) i Krzysztof R. Mazurski (Wierchy 1976 T. 45).

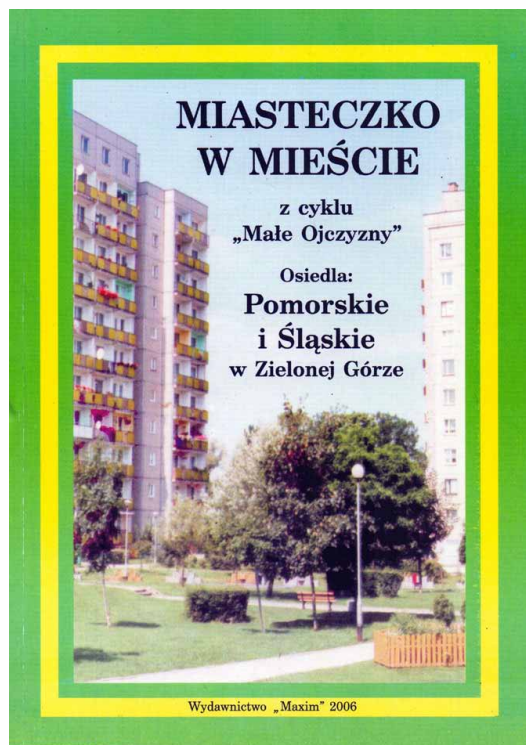
Małe ojczyzny

Na zachodnich i północnych terenach Polski, przez wiele lat po 1945 r. nazywanych Ziemią Odzyskanymi, a potem po prostu Ziemią Zachodnimi i Północnymi, dorasta trzecie już pokolenie. Uważa ona je za własne, bo tu się urodziło i żyje, choć sporo z tych osób wyjechało ostatnio na ten prawdziwy Zachód. Dlaczego? Szukając pracy, uciekając od politycznego zgiełku, uważając się za obywateli Świata? Zapewne wszystko po trochu i jeszcze więcej. Co zrobić, by nasz kraj się nie wyludniał? Oczywiście, zapewnić przede wszystkim godziwe warunki życia. Ale czy to wystarczy? Czy przywiązanie do miejsca zamieszkania można tylko na tym budować. Można, z pewnością, ale co to za przywiązanie... Potrzebna jest jeszcze do tego relacja emocjonalna, budowana na wiedzy o swojej miejscowości i regionie, co realizuje od ponad stu lat Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Świadomość tego powoli, ale stale obejmuje coraz szersze kręgi naszego społeczeństwa (na marginesie – co zrobimy w tym zakresie z przyjętymi uchodźcami?), nawet tych z pierwszego pokolenia, które przybyło tu po zakończeniu II wojny światowej.

Znakomitym świadectwem takiej postawy jest Lucjan Fokszan z Zielonej Góry, który propaguje wiedzę o tej części północnego Śląska, należącego obecnie do woj. lubuskiego. Oto dotarła do nas niewielka książeczka, ale jakże pożyteczna, którą zainicjowano cykl „Małe Ojczyzny”. Małe, bo obejmujące codzienną naszą przestrzeń, składającą się z tysiącami innych na całą polską Ojczyznę. W odniesieniu do prezentowanej publikacji można powiedzieć nawet, że chodzi tu o mikroojczyznę. Autor i wydawca postanowił przekazać wiedzę – ograniczoną ilościowo, bo odnoszącą się do zupełnie czegoś nowego na tym terenie, o dwóch zielonogórskich osiedlach. Z oczywistych względów klasyczny zasób informacji krajoznawczych jest skąpy: ukształtowanie rzeźby, powstanie i charakter projektu urbanistycznego. Zabrakło wszelako wiadomości, kto budował te zespoły, jakie firmy, kto się wyróżnił. Budynki same przecież nie powstały. Większą część objętości zajmują natomiast dane o poszczególnych podmiotach gospodarczych, bardzo szczegółowe, np. z podaniem godzin otwarcia. Zbyt przypomina to katalog firm, ale też jest dokumentem miejsca i czasu. Choć pisze się o Ziemi Lubuskiej, a nawet o Lubuskiem, która współcześnie jest jakoby i, niestety, błędnie synonimem woj. lubuskiego, to trzeba szanować prawdę historyczną. Z Ziemi Lubuskiej do woj. lubuskiego, zwanego w mediach (kto tak mówi normalnie?) Lubuskiem, należą tylko dwa zachodnie powiaty. A jeszcze kawałek Śląska, Łużyc Dolnych, Wielkopolski... Ziemia Kłodzka – dla porównania, będąc włączona do woj. dolnośląskiego, nie stała się przez to Dolnym Śląskiem.

Tak czy inaczej, uszanowanie i uznanie za podjętą inicjatywę trzeba zdecydowanie wyrazić. Oby więcej takich dokonań!

Lucjan Fokszan: *Miasteczko w mieście osiedla: Pomorskie i Śląskie w Zielonej Górze*. Wyd. 2. Zielona Góra: Wyd. „Maxim” 2006, 80 s.



Wydawnictwo „Maxim” 2006

Krzysztof R. Mazurski

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Anna Zygm**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński,**
Andrzej Rumiński

Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wyślouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931